

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



CYPRIAN NORWID

QUIDAM

Adolescentus *quidam* sequentatur - S. Marc. XIV 51

Sunt *quidam* de hic stantibus qui - S. Math. XVI 28

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

DO Z. K.
WYJĄTEK Z LISTU

Czytałeś, i nawet, czego nie spodziałem się być, dawałeś do czytania ten rękopism **przypowieści** mojej, nazwany **Quidam**. Uważałeś zapewne, że dziełu temu dałem nazwę **przypowieści**, nie zaś **powieści**, a to z przyczyny, że intrygi i węzła dramatycznego, właściwego powieściom, wielce się tu wystrzegałem - nie o to mi szło, ale właśnie że o to raczej głównie, co zazwyczaj tylko pobocznie z właściwych powieści wyciągamy.

Dlatego to i bohater jest tylko **ktos - jakiś tam człowiek - quidam!** Nic on nie działa, szuka tylko i pragnie dobra i prawdy, to jest, jak to mówią: nic właściwie nie robi - cierpi wiele, a zabity jest prawie że przypadkiem, i to w jatkach!

Jest tam i drugi **Quidam**, któremu to nazwisko przeszło było w imię własne, ale i ten jest tylko jakiś ogrodnik, jeden z miliona chrześcijan! Zali to jest tragiczne? - pozwalam Ci wątpić, wielki poeto!

Ale Ty, którego ś.p. Juliusz Słowacki nazwał **Poetą-Ruin**, i który jak nikt nigdzie umiałeś świat ruin opiewać, pozwól mi w zamian powiedzieć Ci, że w przypowieści tej mojej pomiędzy jej żywymi postaciami, lubo nie ma arków połamanych i rozrzuconych kolumn, nie mniej smętny, jakkolwiek z właściwego mi punktu oglądany, krajobraz ruin się przedstawia. Serce tej Zofii, tak czarującej talentami, a tak nerwami i wolą do siebie nienależnej, może właśnie całej jednej **świątyni-wiedzy** jest ruiną?

Cywilizacja, według wszelkiego podobieństwa, do dziś jeszcze podobna jest do tego kościoła, który za Kapitołem tyle razy przy księżycu świetle oglądałeś - do tego kościoła, co w kwadracie kolumn świątyni starożytnej, jako gołąb w rozłamanej klatce, przesuwając się, tak iż, mszy świętej idąc słuchać, przechodzi się owdzie przez Jowiszowy przysionek. Daruj mi więc, wielki poeto, że z niektórych tylko korzystałem uwag Twoich co do kształtowania się tej mojej przypowieści, inne za niebyłe uważając. Cywilizacja składa się z nabytków wiedzy **izraelskiej - greckiej - rzymskiej**, a lono Jej chrześcijańskie, czy myślisz, że w świadomej sobie rzeczywistości już tryumfalnie rozbłysło? **Mag** jest **Żyd - Artemidor** i **Zofia** są **Grekowie** - znajdziesz tam i **Rzym**, lubo Tobie, wielki poeto, inaczej i gdzie indziej, nie zaś w mniej plastycznych sferach, ruiny oglądać i słać przystało. Szczęśliwszym byłeś.

CYPRIAN NORWID

Pisałem 1859

I

Przypłynął młodzian z górnego Epiru
Do miasta Regium, na rzymskim okręcie;
Grek był, lecz matki ród się wiódł z Iliru;
Krwi też dwoistej wzajem przeniknięcie
Na twarzy jego dostrzec można było,
W sposób, iż profil z greckich miał medali,
A w oczy patrząc: skroń nabrzmiałą siłą,
I włos mniej ciemny - i usta z korali.
Z Regium, jak długi brzeg, ku Puteoli
W konnej i gwarnej jechał karawanie,
Czas to był, kiedy z imperialnej woli
Poczęto wielkie o drogach staranie,
I częste mosty, z gładkiego kamienia,
Skałę ze skałą wiązały ogniwnem -
I różni ludzie, i różne cierpienia
Żelazem granit obrabiały krzywem:
Adryjan, cesarz w sztuce wszelkiej biegły,
Dogłądać lubił kamienie i cegły.
Od Puteoli, po appijskim bruku,
Epirski młodzian zdążył już do Komy,
A Romę marzył podobną do łuku
Tryumfalnego, którego ogromy
U samych niebios swój początek biorą,
Lub samych niebios stały się podporą.
Wszakże on jeden z całej karawany
Marzył - gdy inni toczyli rozmowę,
Jak świat na nowo został popisany ?
O ile prawo carskie lub ludowe? -

Gdzie: w wstępnym Rynku albo w Trastubernae -
Osły i konie zanocować wierne? -
Jest coś wśród wielkich miast i naokoło,
Zwłaszcza pod wieczór, zwłaszcza dla pielgrzyma,
Co wypogadza lub zachmurza czoło,
Ziejąc nań niby westchnienie olbrzyma -
Jest coś w tym szmerze, co pierwszy dolata,
Skoro się miejskich bram rozemknie krata.
To coś - Epirczyk nasz poczuwał w chwili,
Kiedy się kupcy z celnikiem wadzili
O jucznych osłów porządek zmieszany -
O kilka asów na lampę u ściany.
Nareszcie w miasto weszła karawana,
Wielkimi juki chmurna i leniwa,
Raz jeszcze widzieć dając twarz młodziana,
Gdzie się ulica okręcała krzywa,
A strażnik z włócznią stojący brązową:
„Ktoś jest?” - latyńską zapytywał mową.
„Syn Aleksandra z Epiru” - i dalej
Osły a konie szły - - i znów pytali.

II

Minął rok całym dni i godzin tokiem -
Za Awentynem słońce czerwieniało.
Przez plac dwóch ludzi szło swobodnym krokiem,
Zbliżonych k'sobie jak dwugłowne ciało.
Wieczór był cichy, cichością jedyną,
Samemu tylko właściwą Rzymowi.
Ni wieś, ni miasto - tu cię woły miną,

A tam wykwinna biga zastanowi;
Tłumy z jakiegoś wracają igrzyska,
Po wzgórzach warty obchodzą **wigilie** -
Chłopięta śmietnik zmieniają w ogniska,
Cyprysy milczą - woń roznoszą lilie –
Syn Aleksandra, wstrzymawszy się nieco,
Do gramatyka rzymskiego te słowa
Mówił: „Te światła, co u wnijscia świecą,
Gdzie właśnie nocna przelatuje sowa,
Rok temu, skoro zapalano, pomnę:
Wjeżdżałem obcy w to miasto ogromne.”
„Któż by zgadł? - na to Gramatyk odrzecz -
Że oto w czasie tak krótkim, zaiste,
Nieokrzese straciwszy narzecz,
Latyńskie słowo wypowiadasz czyste!
Co więcej! mądrość mający na celu,
Kto by zgadł, mówię, że w wjazdu rocznicę
Zwiedzić już myślisz, młody przyjacielu,
Artemidora mądrości świątnicę?” -
„W czasie tak krótkim, powiadasz - pociecha!”
Epirczyk odrzekł z westchnieniem głębokim.

III

I szli. - Rok minął dni i godzin tokiem.
Artemidora ogród oświecony:
Fastigium domu nad skrawym obłokiem
Czerni się w trójkąt; niżej biust złożony,
Z framugi ciężkie wychyliwszy czoło,
Rzekłbyś, iż chyłkiem pogląda wokoło.

Zofiję z Knidos mędrzec miał u siebie.

- Uczniowie w laurów ciennikach siedzieli,

Czekając: gwiazdy aż błysną na niebie,

Czekając: pomoc aż ich rozweseli

Tym ogniem tylko pomocy właściwym,

Ni to widzialnym, ni światłym, lecz żywym,

Ogniem wewnętrznej gorączki i drgania

Powiek, gdy ciężęć poczną od czuwania,

A słów mierzonym śpiewanych akcentem

Skoro się przy tym wyrzuci niemało,

I subtelności niejednej, zakretem

Wstecznym, skoro się dobrze naszukało - -

I człowiek, w całej myślenia machinie,

Poczyna czuć się zostawionym sobie,

Lubując giętkość jak skoczek na linie,

Starego ojca niosący w osobie.

- Tej to gorączki z nałogu czekano,

A coraz nową rzecz dyskutowano.

Zofija z Knidos pośród tej drużyny

Mądrej podobną była do opalu,

Co zda się mieścić wszystkie tęczy płyny -

Lecz nie rozlewa ich z skąpstwa czy żalu?

Żalu - bo opal z łzawym błyska mętem;

Skąpstwa - bo blask swój wycedza ze wstrętem.

Zrodzona w Knidos, w Rzymie wychowana,

Gdyby to było nie za Adryjana,

Kiedy już Sybill błękitne jaskinie

Proroczych w sobie nie kryły trójnogów -

Może by głos jej był jako naczynie

Brzmiące - dla ludzi śmiertelnych i bogów.
Lecz inny wzywał smak, rządziło nie to:
Była więc więcej od Sybill - **kobietą!**
Była tym samym - bo czasów własnością,
Natchnieniem smaków ich - z bezświadomością!
Pod tymi laury, których liść szeroki
Lamp różnofarbnych złamały promienie,
Szaty ją wiewne tulą jak obłoki
I układają na ciche kamienie -
Z rzeźbą ich łącząc tak żywą naturę,
Jak rzeźba wpaja się w architekturę.
Zaiste, odłam to jakiejś świątyni,
Gdzieś barbarzyńskim roztartej obuchem -
Nikt zeń całości nowej nie uczyni,
Ni ją spokrewni z cudzoziemskim duchem:
Zawsze to będzie pamiątka bez-łzawa
Czegoś, co nie ma istoty ni prawa.
Ty, coś ją widział, zakryj sobie oczy
I powiedz, co z niej pamiętasz szczególnie?
Nie gładkość czoła, ni wieniec warkoczy,
Pamiętasz jakieś **wzięcie się** - ogólnie -
I głos: ten słodkie miewać zwykł poczęcie
Potem się kroplił jako płyn - a potem
Jakobyś srebrnym wydzwaniał go młotem -
Potem - i rylca było w nim zgrzytnięcie!
Ruch też głosowi wtórował, a zawsze
Prędzej, w obejście przechodząc łaskawsze.
Taką to panią mędrzec gościł w chwili,
Kiedy przez *salve* mozaiką wybite,

Na progach sieni stopami zużyte,
Męże dwaj cichym koturnem wchodzili.
Starszy był w szarym płaszczu i tunice,
A laskę przed się stawiał jako świecę
Prostą, o wiele dłuższą nad użytek.
Każdy zwój płaszczu jego, założony
Jak pergaminu pisanego zwitek,
Łamał się ostro lub obsuwał w strony,
W sposób, iż z tyłu widząc go o zmroku,
Jak sprzęt nieżywy wydałby się oku -
Sprzęt świeżo zdjętą szatą obrzucony.
„Mistrzu Jazonie Magu! - rzekł mu drugi
Czy nie raczycie prosto do ogrodu?” -
A w głosie jego było coś i sługi,
I przyjaciela, i bliskiego z rodu.
- Starzec krok zwrócił za odpowiedź całą
I weszli oba boczną furtką małą.
Weszli - ostatni goście spodziewam.
Perystyl odtąd pustą już przestrzenią - -
W alabastrowej lampie stojąc bani,
Mdląła - kolumny blado się czerwienią
Od strony światła, ciemniejąc od drugiej -
Czasem słów kilka posłyszysz za sienią,
Czasem leniwy krok sennego sługi.
Lampa przedzgonnym co tryśnie promieniem,
To się mozaiki na ziemi poruszają,
To arabeski zatrząsą sklepieniem,
Jakby gmach - ciałem, ona była duszą.

IV

Pomiędzy świtem a nocy zniknięciem
Płomienne blaski różowe z mrokami
Walczą, jak Cnota z **świata-tego** Księciem -
Mdlawe, lecz ufne, choć wciąż je coś mamy.
Pomiędzy świtem a nocą jest chwila,
Gdy hoże łuny z czarnymi krepami
Błądzą, aż bystry promień je przesila.
Ostatnia gwiazda wtedy w niebo tonie,
A słońce rude swe wynosi skronie -
I periodyczna pamiątka **stworzenia**
Wciąż od **Pańskiego** kreśli się skinienia.
- Pod taką dobę do swojej gospody
Syn Aleksandra z Epiru powraca.
Wszedł i dwa palce przyłożył do brody:
Drgnął, błędną ręką płaszcz na sobie maca;
Co gęstsze zwoje, to otrząsnął lepiej -
I wybiegł krokiem niepewnym, jak ślepi.
Niewiasta, za nim patrząc z korytarza,
Etruskiej lampy knot podjęła igłą
I poruszyła oliwę zastygłą,
Mrucząc: „Czy mieszek? drachmę? nie uważa!”
Tak szepcąc, w ciemność kątów pozierała,
I szła, i milkła, i znów coś szeptała

V

Pomiędzy świtem a nocy zniknięciem
Płomienne blaski różowe z mrokami
Walczą, jak Cnota z **świata-tego** Księciem -

Mdławe, lecz ufne, choć wciąż je mrok mami.

- Pod taką dobę u Artemidora

Do głównej sali wracano z ogrodu:

Śniadać zbliżyła się konieczna pora

Dla gości, skrzydłem poruszonych chłodu,

Chłodu, co, lubo letni, ostro godził

Na bezsennością gorące powieki

I trzeźwił róże mdłe, a oczom szkodził,

Po-rozparzanym od wewnętrznej spieki.

Szli więc do sali, gdy niewolnik zasię,

Do laurowego wbiegnąwszy ciennika,

Zdjął lirę Zofii wiszącą na pasie,

Pargaminowe zwitki spod stolika,

Pudełko z kości słoniowej z woniami,

I oddał służbie stojącej za drzwiami.

Niedługo uczta u Artemidora

Zwykłymi kończyć się będzie toasty;

Wszelkiej tam rzeczy osobna jest pora,

I o wigilii najdalej dwunastej

Ktokolwiek *salve* wybite mozaiką

Koturnem swoim niebacznie zawadzi,

Przyjętą będzie pocieszał się bajką:

Że Mistrz dyktuje właśnie, albo radzi.

- Z Koryntu rodem, Artemidor w Rzymie

Sławy urokiem otoczył swe imię;

Był nawet wzywany i do Adryjana,

Na posłuchania treści niewiadomej -

Bliżsi wszelako - tych przyjmował z rana -

Twierdzili, że był wolnym jak atomy,
Że w Adryjanie **cesarz** dlań jest **czlekiem**,
Że Amaltei napawa go mlekiem,
Że w jednym ledwo folguje mu snadnie:
W archeologii - którą zna dokładnie.
Pewna jest wszakże, iż ci bliżsi, właśnie
Im więcej bliżsi, widzieli mniej jaśnie.
To miał do siebie Mędrzec, tak iż w domu
Stawał się prawie nie znanym nikomu.
Nie był to wszakże fałszerz, ni jakowy
Pochlebca płaski, ni umysł jałowy,
Ni tajemnicą owiany mąż czynu,
Arystokracji szpieg, albo szpieg gminu.
- Wcale. - Filozof był to szkoły własnej -
Ta, że posady nie mając zbyt jasnej,
Utrzymywała się w całości ścisłej
Przez solidarnie ukrywaną próżnię,
Im bardziej uczeń w duchu był zawisty,
Zobowiązywał więcej - lecz ostrożnie -
Wylania przy tym skąpy? czy lękliwy?
Kończył, iż jak się skłamał, tak był żywy!
Chcesz poznać wartość szkoły lub podania,
Na ich ostatnie spojrzysz egzemplarze:
Tych jeśli błędem są **pocałowania**,
Jakaż być musi miłość pierwo-wzoru! -
Tych jeśli cechą jest **siła-uporu**,
Jakaż być musi na czele **skalistość**? -
Tych jeśli brudem całym **szata z woru**,
Jakaż być musi na górze **przezczystość**?

Artemidora uliczni czciciele
Podobni byli do zbiegłych klientów,
Gdy ogłuszali, rozprawiali wiele;
Skoro kto przeczyć śmiał - szukali mętów,
A często naprzód, czując się niepewni,
Kończyli śmiechem lub milknęli rzewni.
Dla mniej ćwiczonych mieli pobłażanie,
Zwłaszcza w publicznych miejscach oczywiste;
Lecz jakby mówiąc: „Cóż mi dajesz za nie?
Uderz choć czołem i wpisz się na listę.”
Koryncki mędrzec mawiać zwykł: „Gdzie ruszę,
Oblegają mię te Epimeusze „ -
I nieraz w szczerym widziałeś go gniewie,
Gdy który z owych wieszał się na drzewie,
Lub patrzył w ogród Artemidorowy,
Co robi mędrzec? gdy nie miewa mowy -

VI

Zofia, do siebie weszedłszy leniwo,
Wśród perskiej sofy skronie utuliła
I płaszczą jeden róg powlekła krzywo
Ku ramieniowi - i tak zostawiła:
Nie jak kto spocząć chcący się odziewa,
Lecz jak kto, **nie chcąc nic**, co pocznie, zrywa.
Ten ją owładnął woli bezkierunek -
I zostawała tak, patrząc na lirę,
Na skrzynkę z kości, gdzie się chowa mirrę,
Na zwitki wreszcie, które przez trafunek,
Pomięszął sługa z przenośnym ciężarem -

I pomyśliła: co też one znaczą? -
Lecz zostawała pod bezwoli czarem,
Marząc: czy same do niej przyjść nie raczą? –
Słońce coraz to jaśniejszym promieniem
I coraz ciepłej wżierało w mieszkania,
Przedmioty jedne usuwając cieniem,
Zbliżając drugie przez ich wyświeglania.
Na pergaminu zwitek promień żwawy
Spadł, jako złoty liść na ciemne trawy,
I błyszczał, chwiejąc się niejaką chwilę -
I znikł - i nastał moment ciemnej przerwy:
Płaszcz Zofii frunął z lekka, jak motyle -
Wstała - i legła znów, patrząc jak pierwej.
Kto była Zofia? - wiemy, lecz **czym** w Rzymie?
Odpowiedź z zwykłych pozorów zawiała:
Bezmężna, sama w willi swojej żyła.
Nadawano jej **Poetessy** imię;
I tę językom ludzkim dawszy stronę
Osobistości swej, czuła się wolną.
- „Nie darmo piorun laurową koronę
Mija”* - mawiała, gdy była swywolną,
Gdy osłupienia mijały ją owe
Częste, dla których uchodziła w stronę,
Lub jak niedawno na pergaminowe
Patrzyła zwitki - - - - -
- - - - - osłupienia, niby
Do wyczerpnienia wewnętrznego podobne:
Oczy jej wtedy szklily się jak szyby l
Zdały się szukać czegoś palce drobne:

Czegoś, jak gdyby strun liry zniknionej -
Czegoś, jak gdyby perełki zgubionej.
Nareszcie wstała - za nią płaszcz szkarłatny
Powłókł się, jako ciężkiej fali struga.
Podjęła zwitki w sposób tak udatny,
Jakby kto patrzył na nią, może sługa -
I rozwinąwszy, że były obfite,
Ciekawość wzrosła, co by zawierały? -
Lecz nie czytała - raczej, jak są zwite,
Baczyła, zwój ich roztoczywszy cały,
Podobną będąc w tej cichej robocie
Do jakiej dawnej Sybilli, gdy w grocie
Poprzekreślanej słońca promieniami,
Jak w strunach złotej liry rozrzuconych,
Duma - a duch jej trzepoce skrzydłami,
O wysokościach marząc niezgłębionych.
Wreszcie, początek znalazłszy rapsodu,
Czytała - - - - -
- - „**Zofio!**” - greckie były słowa -
Tu zatrzymała się: „Szkoda zachodu! -
Mówiąc - za długa rzecz: rozboli głowa -”
Dalej: „**Zofijo!** - znaczy tu: **mądrości!**” -
I śmiać się bardzo poczęła z zazdrości -
Komu? - mądrości? - więc, kończąc czytanie
Rzekła: „Nie do mnie!” - z gniewu czy z radości -
„Wszelako - krewne mi te wszystkie panie
Z Olimpu, bądźmyż przeto, jak przystoi
Na pokrewieństwo, mądrzy - cóż tam stoi?”
- - - - -

ZWITEK PIERWSZY

§ 1

Mądrości! tobie poślubiłem z dawna -
I oto wzięła mię ta Roma sławna
W wielmożne dłonie swoje, mnie, z Epiru
Sierotę! - Ówdzie mdłą byłem rośliną
Na pustce dziadów; tu - drobiną żwiru.
Mniej: pyłem, może i pyłu drobiną.
Zowąd próg domu zdawał mi się światem,
Stąd Epir cały progiem mi domowym.
Rozszerzyłem się, prawda; idzież zatem,
Że wzrosłem?- - - - -
- - - - zvitkiem tym pargaminowym
Można by ludzi otoczyć gromadę,
Tak bo szeroki! - wszakże jednym słowem,
Krótszym a głębszym, wlewać można radę,
Moc, rozrzewnienie, pociechę, lub zradę! -
Cóż stąd?—
Czy człowiek, widząc tak szeroko
Na każdą chwilę swojego żywota,
Ile zakreśla mu dokoła oko,
Doszedłby, gdzie są wszech-mądrości wrota? -
I wielkich świata spotkał luminarzy
Tam, gdzie powinien, nie tam, gdzie się zdarzy?
Czy raczej zwiedzić winien obszar cały,
Nie okiem jego, lecz okiem ludzkości
Skreślony jemu, gdy był jeszcze mały,
I śnił na progów własnych pochyłości,
I patrząc, gdzie się widnokrąg zasklepia,

Myślił, że człowiek, skoro tam dobieży,
Rękoma swymi niebios się uczepia,
Wysysa nektar i jak Bachus leży? –

Trzebaż więc zawsze, by serce górala
Po brukach miasta pierwej się wytarło
I łza człowiecza wędrowała z dala
Tu? - by samotniej niż w zaciszy marła,
Twardniejąc z wolna jak ziarno opala!
Złotnik ażeby brał potem jej jądro,
Ważył i w kolce osadzał, i może,
Dewizą jaką naznaczywszy mądrą,
Przypiął do cizem, lub psu na obrozę! -
Nie! - **tu jest** czasów jakaś tajemnica,
Albo tu kłamie się już jak dla rymu,
Albo jednego tu nie ma szlachcica,
Co by, jak Scipio, sam gadał do Rzymu,
Albo tu cała szlachta - to konnica! -

Nie! - - prawdy dziwnej bliskość czuję łonem! -
Ateny przecież jak Rzym świetne były,
A jednak Scyta Zamolksys z Solonem
Różnił się, niby odmienne dwie siły.
- Mamże Epiru zostać Pigmalionem,
Czy rzymskie jeszcze oglądać mogiły
W ogromnych łunach? - i, mimo Zeusa,
Padłe, jak niegdyś Korynt za Mumiusa? -
Stój! -

W rymie zdradnej płynności jest siła:
Sybilla stara, co w sieniach mych dziadów
Siadała jadać, pomnę, że mówiła:
By strzec się echa-słów, i winogradów
Upajających nie tykać nad miarę.
- Któż retoryki nauczał tę stare? -
Mistrz gdzie? co onej nie szczędził przykładów -

Nicość! -----

§2

- - Skończyłem wczora na **zwątpieniu** -
Dziś mój gramatyk wskazał mi cynika
Sławnego w Rzymie - nie powiem imienia.
- Są ludzie, których lepiej znać z ich cienia:
Twarz w twarz spojrzawszy, osobistość znika.
Tego gdzieś medal widziałem brodaty
Z zagłębiającym się w przestrzeń wejrzeniem;
Dziś mówił myślą, słowem i skinieniem,
Najoczywiściej - w ostatnie bogaty.
Co myśli? - nie wiem; co mówił? - nie pomnę;
Co cierpi ? - z płaszczu wyczytałem w łaty -
Smutno mi -
----- Rzym - jest to miasto ogromne.

§3

Kto jest **Mistrz-Jazon-Mag?** - zapytać muszę:
Mąż tajemniczy a powszechnie znany -
Kto **Artemidor?** - o tym wiele tuszę -
Kto są tak zwane w Rzymie **Chrześcijany?**

§4

Adryjan cesarz wymyślił rzecz nową:
Każdy wiek inną wyrazić budową.
Będzie to jakby historii zwierciadło,
Będzie to jakby sztuki abecadło,
Ogromne dzieło i praca niemała!
Narodów różnych niewolnik zajęty -
Wiek się zadziwi, przemysłowi chwała!
- W prowincje nawet rozchodzą okręty:
To z robotnikiem, to z ciętym marmurem.

Rzym jeden Rzymem, a świat - jego murem.

§5

Mistrz Artemidor dzisiaj szedł ulicą,
Trzymając w ręku liść lauru: przypadkiem
Uronił tenże - uczniu wraz rozchwycą.
Tak niegdyś z polnym postąpiłem kwiatkiem.
Tu mądrość, owdzie zachwycę lico;
Tamto - to było kiedyś, i ukradkiem -
Są myśli, które choć naznaczyć trzeba
Czymś, jakoś - później one się rozświecą! -
Zda się, iż równie znachodzi je sztuka,
Podobną będąc zbłąkanej dziecinie,
Co nuci, patrzy i maca, i szuka - -

Ten ustęp mamże pozostawić czy nie? -

§ 6

Że to nie piszę na stylu wystawę,
Naznaczyć muszę choć kilkoma słowy:

Widziałem dzisiaj twarze dwie bladawe
Dwóch niewolników, dwie schylone głowy,
Związane ręce - byli to zbrodniarze,
Niewdzięczni panu swemu, zbiegi, trutnie,
Leniwcy - wspomnieć smutno, jakie twarze!
Jeden uśmiechał się bardzo okrutnie,
Wejrzenie widzów raniąc - drugi w kroku
Zdązał mu, przeto iż dłuższy był w stanie,
Szli tak w kurzawy i pięści obłoku -

Jak mam rozumieć tygrysom rzucanie?

§7

Cóż jest niewolnik? -----

---- „W siódmym paragrafie

Iglicą znacze” - to Zofia mówiła,

I zwój, jak długi był, na powrót wiła.

Potem: „Doczytam i w toż miejsce trafię” -

Dodała, ręką przecierając czoło -

Potem: „Pamiętnik dziwny” - potem: „Kto to?

Przychodzień jakiś - u Artemidora?

Kto był? - rada bym poznać go z ochotą.

Mistrz-Jazon! - przy nim młodzian jakiś wczora

W cienniku bocznym przechadzał się długo;

Wszelako owy, wiem, skąd rodem. Sługo!”

Tak gdy kończyła Zofia wykrzyknikiem,

Kotara boczna fałdy szerokimi

Drgnęła, rozsuwać wszcząwszy się od ziemi,

I Egipcjanka, uprzedzona sykiem,
Jak syka człowiek, gdy igłą się zrani,
Weszła, nietrudny ukłon dając pani.
Zofia milczała, pismo mając w dłoni,
Zaś niedoszyte płótno swe niewiasta
Trzymała - wreszcie słowa te uroni:
„Która wigilia?” - „Wigilia dwunasta.” -
„Dosyć” - służąca znikła za kotarą -
Pani się przeszła swobodnie po sali,
Lecz gdybyś pierwiej na oną twarz starą
Patrzył, a potem zatrzymał się w dali,
By, niewidzialnym będąc, Zofię widzieć -
Rzekłbyś: „Zaiste! piękne **straszne** bywa,
Odkąd się człowiek pocznie za nie wstydić.”
Tak bo bezładnie na twarzy jej grało
Uzucie błędne i znużone ciało.
To rzekłbyś, widzu, i dodałbyś: „**Smutno!**
Patrycjatowi, scyjencji, epoce.”
- A potem łzę byś na egipskie płótno
Rzucił i nie w te uwierzyłbyś moce
Rzymu, pod maską wylęgle okrutną -
I nie w te czucia, które dają noce
Dyjalektyczne u mistrzów wymowy.
Tak zaś bolesnym poczuwając drgnieniem,
Nie byłbyś zdolnym **rzec jasnymi słowy,**
Lecz byłbyś zdolnym **dotykać sumieniem.**
Są bowiem drogi dwie wyrozumienia:
Przez wiedzę jasną lub skryte cierpienia;
Druga, na Zofii twarz rzucając światło,

A światło z sługi jej przyjścia wywarte,
Zmieniała pierwszą, to jest wiedzę, na tło,
Na zapisaną, lecz czytelną kartę.
Jakoż w ten sposób czytając osobę,
Mylić się można sto razy na dobę;
Raz wszakże zgadłszy, wie się więcej o niej,
Niż żebyś rok z nią przeżył na ustroni.
Po chwili Zofia przepatrzyła jeszcze
Pergaminowy zwój cały, jak długi,
Z uwagą, z jaką baczne czynią sługi
O szatę pana, gdy padały deszcze,
I skryte w ścianie otwarłszy framugi,
W alabastrową złożyła go urnę,
To rzekłszy: „Kiedyś wyleję, jak strugi,
Wszystkie te razem rapsody pochmurne,
Które do siebie mają, że upadam,
I nie rozumiem się, i nie posiadam.”
Wszakże mówiła tak drażliwa pani,
Jak ktoś z owoców ocknięcia wesoły:
Nim się rozbudzi, właśnie świt go rani -
I gniewałby się na same anioły;
Humor - z którego powstają **tyrani!**
Nie była wszakże Zofia złą kobietą,
Ani aniołem pisarz pamiętnika -
Lecz stało się to przez oną ukrytą
Potęgę czasów, gdy w żyjących wnika
I aktorami czyni ich dramatu -
Co się rozwija jak cierń, lub pąk kwiatu.
Po chwili jeszcze z tej drugiej potęgi,

Snu czy lenistwa swego, ocknęła się
I, jakby znikło jej wspomnienie księgi,
Egipcyankę znów pyta o czasie:
„Którą wigilię obchodziły warty?” -
Lecz dlań odpowiedź była obojętną,
A głos już więcej szczery i otwarty,
A sługa cicha bynajmniej natrętną.
Po tym przechodnim dysonansie ona
Stała się trzecią osobą - tą samą,
Którą widziałeś wśród mądrego grona,
Z służbą jej stojąc ukradkiem za bramą.

* Przysłowie, a pierw zabobon Rzymian.

VII

„Więc z nimże samym mówiłeś dziś jeszcze?
Gdzie? w sali bocznej przy *impluvium*, czyli
W ogrodzie?”
„Nie wiem - tylko, jednej chwili,
Słuchając, pomnę, że na fali dreszcze
Patrzyłem, ruch jej śledząc ondularny;
Więc - przy *impluvium* dziać się to musiało:
Człowiek tak z miejscem bywa solidarny,
Czy myśl tak często łączy się z przestrzenią,
Że jakaś licha rzecz i przedmiot mamy
Przez porównanie świecą jej lub cienia?” -
„Zaiste - na to odpowie Gramatyk -
Skąd idziesz, zgadłbym, słyszawszy ten **attyk**.
Nie przeto jednak mało jest dziś w Rzymie

Jak Artemidor wymownych, i wnoszę,
Że obcy nawet słyszał już to imię,
I że nie pierwszy ja chlubnie je głoszę -
I że dość wyrzec: **on!**" -
- Gdy szli ulicą,
Gramatykowi przerwał poczet konny,
Nadbiegający z taką błyskawicą
Hełmów i mieczów, i dzid, które świecą,
I orłów, zastęp znaczących koronny,
Iż skoro kurzu dwie spadały fale
Na dwa przechodniów rozstępy zdziwione,
Syn Aleksandra znalazł się przy **Skale**.*
Gramatyk nie mógł przejść w tęż samą stronę
I niecierpliwe dawał tylko znaki,
Co chce - jak młode poza gniazdem ptaki.
Środkiem zaś onych przechodnich rozstępów
Biegł najprzód hufiec ów w jasnych zbroicach;
Lamparcie skóry tym, jak skrzydła sępów,
Zdały się pierzem wyrastać przy licach,
Dotykać ledwo bark i pływać w wietrze.
Pierwszy ten szereg orły trzymał cztery
I - *S.P.Q.R.* - złożone litery
Na ciężkich włóczniach. Drugi - zbroje letsze,
Sposobem Partów do ciała przywarte,
Welgnione w konia zagiętem kolanem -
I piersi na przód swobodnie otwarte
Z łuskowem kryciem jasnym, jakby szklanem.
Nad tym zastępem w trzy strome ogniwa
Trzy wieńce łączą się, i w kształt tablicy

Wyobrażenie jaśniej wilczycy,
Dalej i dacki smok z ogonem pływa,
I kręte trąby miedziane trębaczy,
I krzyk: „Odeprzeć! - kto zboczyć nie raczy.”
- Za tym przestanek - jedna kurzu skiba
Przepadająca w nic, jak na dno ryba,
I jedna chwila rytmowej cichości -
I dumy pełen czy opieszałości,
Czy wyróżniony przez ruchu swobodę,
Pretor na koniu płowym, mąż otyły,
Oglądający się, gładzący brodę,
Jak człek urzędu pewny, lub swej siły.
Ten, z wolna jadąc, piesze wiódł szeregi,
Do środka w koło nieporządnie zwite,
Jak cyrk przenośny z okolnymi brzegi
I oś mający stanowczo nie wbite.
Tą osią byli do pół obnażeni
Mężę trzej, dobrze powrozem ściśnieni,
Lecz onych ledwo widziałeś niekiedy
Czoła lub piersi nagością świecące,
Wśród chmur zwichrzonej dokoła czeredy
To wyjawione, to zapadające.
I były one jakoby członkami,
Co nieraz leżą na cyrku drgające,
I lśniły one za różeg snopami
- Różeg, co sądy znaczą i liktorów -
Jak białe lilie gęsto ogrodzone,
Jak białe lilie z sadu wychylone,
Widne przez wrota szerokich toporów,

Co przywierały się lub zawierały,
Skoro się męże niosący je wili
Ulicą krzywą, pod stopami Skały.
Przed onym płotem toporów i wid
Szli i kapłani, niosąc kadzielnice:
Poważni, czasem po oczy zakryci,
Wyzierający tylko na ulicę,
Kiedy się zmięszał porządek szeregów.
Także i tłumacz, i pisarz, i szpiegów,
I świadków nieco - dalej poczet drugi:
Ciekawych - swoją hierarchię mający,
Przez onych pierwszych klientów i sługi,
Lecz mniej solenny i rozprawiający.
Do wpół na osła pochylony grzywie,
Fig kupiec mówił: „Żydów trzech powlekli!” -
„Chrześcjan!” - gladiator odparł mu chrapliwie.
„Wróćmy” - ktoś inny. „Choćby też osiekli -
Gladiator rzecze - nie ma po co chodzić.
Nędzne to - hajże! - odrość się, odrodzić,
Zawdziać się w siłę na cyrku zdobytą
Nie taka łatwa rzecz! - cóż? że i bito,
Ale jak bito?” - to mówiąc dokładał
Pięściami na wiatr, okraczał, przysiadał,
Wołając: „Hajże! - w słup - *dextra! sinistra!*” -
„Naści, lwie!” - kupiec rzekł, rzucając figą -
A inny drugą: „Moja więcej bystra” -
A inny: „Moją zawarczę jak frygą” -
„Wiecie co? ja wam dopiero wyłożę
Rzecz, co słyszałem w kuchni senatorskiej!

Pozwólcie, ino płaszcz lepiej założę” -
I spluwał, akcent kłamiąc oratorski.
„Pozwólcie - rzecz ta ciekawą być może -
Pozwólcie!” - mówił po trzecie mąż mały,
Z wielkimi w uszach srebrnymi kolcami,
Mówił wśród klasku fig, co wciąż padały.
„*Tandem*, to rzecz jest, w której dosyć idzie
O ogrodnika pewnego.” - - „O **Gwidzie**
Będziesz mi mówił - kupiec fig zawoła. -
Wiem, iż powlekli tego apostoła -”
„**Gwidzie?**” - z kolcami mąż odeprze maty. -
„Tu jest pytanie, jak wyklada szkoła ?
Gwido wulgarne powieści go zwały,
Że bez nazwiska był, bez nazwy - zgoła
Sierota, *quidam*, zwana dalej *quido*,
I nieuczona gawiedź, która woła:
„Gwido”, lub nazwę łączy **apostoła**
I inne - wszakże nie wiedząc, skąd idą!”
Tak mówił drugi ów gladiator słowa
Coraz to szybciej - gdy osoba nowa
Użyła większej jeszcze ciekawości,
Mówiąc: „Sam **boski** cesarz w swej mądrości
Dozwala bogów czcic wszelkiemu człeku,
Ani wyzuwa z dóbr, praw i wolności
Za to - jak działo się innego wieku.
- Sam boski, boskie cenić umie rzeczy:
Ale jest prawo, i to służy jemu,
I jemu przeczy ten, kto prawu przeczy;
A prawo trzeba znać - z czego pochodzi,

Że jest ciekawa rzecz, jak się to zgodzi:
I czy fałszywie Gwidon oskarżony,
I jako obie pokażą się strony?” -
To rzekłszy, cofnął się do towarzysza,
Który na boku wstrzymał się na chwilę -
I szli pośpieszniej.
„Różnie się ucisza
Lud” - rzekł Gramatyk. - „O tyle, o ile” -
Towarzysz na to - i szli. - „Przez przypadek
Znalazłem się w tym zgiełku; nie sam byłem:
Zginął mi **uczeń**” - tu uczynił spadek
W głosie i nieco obrócił się tyłem -
„Uczeń?” - „Jakoby - przyjaciel niejaki
Artemidora, z prowincji młodzieniec,
Którego wdrożam w treść wiedzy wszelakiej,
Gotując może tożę, urząd, wieniec -
Zresztą nie **uczeń**, jak to **wy** zowiecie.” -
„Różne są nazwisk użycia na świecie” -
Towarzysz na to. - „Jakże zdrowie Maga?” -
Gramatyk znowu. - Po chwili milczenia
Towarzysz na to: „Pochlebne życzenia! -
Dzięki! - jak zawsze: **taż sama powaga.**” -
„Więc zdrów?” - „**Więc** - na to towarzysz odrzeczę
Vale.” - Gramatyk rzekł: „Oto ma zguba!” -
I okręcił się łokciami jak szruba,
Gdy wraz Epirczyk dodał: „Nie uciecze” -
Z uśmiechem także witając drugiego.
„Widziałem, pomnę, u Artemidora
I mam do Mistrza list.” - „Przyszły kolego” -

Odpowie **Barchob**, uczeń, i zdążali
Milcząc, jakby się wcale lub dość znali.

*Skałą nazywano cały obwód kapitolijski.

VIII

Teraca była mozaiką wysłana,
Przedstawiającą modre pawi stado.
Wchodnią tej ścianą jest domostwa ściana,
Z trzech innych każda przejrzystą arkadą,
A każda z arkad tych poopierana
Na faunach, którzy wieńce na się kładą,
W sposób iż, stojąc w takowej teracy,
Podobny jesteś do biustu pod łukiem,
Gdy nogi twoje suną jak po tacy,
Z gładkim klejnotów bawiące się brukiem.
Dodać tu jeszcze należy popstrzenie
Cieniami liści i różne zielenie
Rozlicznych krzewów, co mają stosowny
Ton zieloności do kwiatów swych blasku,
Często i zapach, jak przekład dosłowny -
A poznasz Zofii dom po tym obrazku.
Tam Artemidor gdy wchodził swobodnie,
Zofia ruszyła iglicą kościaną:
Wraz z stołu, który ma półkosze spodnie,
Spadł w nie zwój pisma, ścierając się z ścianą,
I spoczął w mroku, jak owi, co leżą
W cieniach, czekając, póki nie zostaną
Oddani rzeczom, do których należą,

A wtedy będą rozwici i staną.
„Szczęśliwież wchodzę albo nieszczęśliwie?” -
Mówił, bynajmniej nie troszcząc się o to,
Jak ten, co palec kładzie na ogniwie
Brązowym u drzwi, z nałogu ochotą,
I teźże treści odbiera skinienie,
Jak nieczekaną odpowiedź lub echo,
Pewny, że nie jest troską ni pociechą -
Podobnie mówią poza Styksem cienie!
Wszelako Zofia gdy podniosła oczy,
Spadała jeszcze z nich czytania krepa,
Co po mozolnej pracy chwilę mroczy,
Gdy, duch że czuwał, natura jest ślepa,
Póki się w nowy akord z nim nie stoczy -
Więc rzekła niemniej mało trafnym słowem:
„Cóż jest szczęśliwość?”
„Dowieść to gotow-em,
Acz w sprzeczny sposób, bo wchodząc nie w porę -”
„To ledwo dowód, że różne są doby,
Organizacje też zdrowe i chore -
Lub że nie tykać **tych rzeczy** - byłoby
Lepiej - „
„Tych rzeczy ?”
„Lub w inne sposoby.”
Zofia, to wszystko do Artemidora
Mówiąc, kończyła jakoby czytanie;
Po chwili wszakże rzekła: „Jestem chora!
Mów mi - czy Jazon Mag nie będzie w stanie,
Jak to niejednej uczynił osobie,

Przez ziół potęgę, lub przez zaklinanie,
Wzmóc mię? i o tej czy nas przyjmie dobie?”
„Nas? w tym wątpliwość, acz sam doń dziś idę •
Nie mawia bowiem naraz z dwojgiem osób,
Do elokwencji mając dar i sposób,
Jakby kto brał się przenieść piramidę! -”
„Idź-że” - mówiła, podnosząc się z wolna,
A potem w dłonie klasnęła swywolna,
I Egipcjance, po cichu wchodzącej,
Wskazała znakiem, co ma ponieść za nią -
Gdy Mędrzec czekał, aż wreszcie niechęący
Dała mu rękę i wyszedł z swą panią.
Poszli - za nimi wonie olejkowe
I szat szelesty, i cienie się wlekły,
Jak gdy wiatr wionie w pustki ogrodowe,
Gdzie skwary pierwszej paliły i siekły -
Lecz, miecąc liście, nie odziewa w nowe.

IX

Gdy Pretor z konia zsiadł, już przedtem nieco
Po obu stronach perystylu stały
Gwardie w lamparcich skórach i co świecą
Łuskami; od tych wprost na polot strzały
Szeroko widzisz schody, gdzie trybuna
I złoty posąg cezarski, świecący,
Jak w mroku rannym pożarowa łuna.

Tam - poczet pieszy, po stopniach rosnący,
Wkraczał, trzech wiodąc oskarżonych ludzi

O zbrodnię, która lud do buntu budzi.

Po krzykach: „W prawo! w lewo!” - i po owym
To tu, to owdzie ciągnięciu się tłumu,
Które zdaje się ciałem tym zbiorowym
Miotać, jak wielką rzeczą bez rozumu,
Stało się wreszcie, iż masa ta cała,
Od wierzchu schodów do schodów podnóża,
Usadowiła się i wyglądała
Jak zawieszona płachta jaka duża,
Z rozlicznej barwy okrawek zszywana,
Do wietrzonego podobna dywana.

Prócz osób głównych, nikt z tych, co tam biegli,
Przy towarzyszu drogi się nie wstrzymał,
Jedni się z dala zaledwo spostrzegli -
Drugi dojść nie mógł, gdzie chciał, lecz się zżymał
Na wrywany mu z rąk rąbek togi,
Którym się druha i rozmowy trzymał;
Inny szedł z tłumem, zdawszy się na bogi.

Syn Aleksandra poczuł tuż przy sobie
Kolumny ocios i wsparł ręce obie -
I blisko rdzeni będąc, słuchał sprawy.

Barchob, Jazona uczeń, stał daleko,
Lecz rzucał okiem nie bez pewnej wprawy,
A okiem zimnym: tak rzemieślnik wieko
Trumny ogląda i dwie strony mierzy,

By trafnie oddać, co której należy.
Tak czyni jeszcze i posłannik, który
Ma zdać rachunek z liczby i natury,
I położenia rzeczy; ale przeto
Tyle jest wierny, ile oddalony,
I wie, **co to jest? o ile? i gdzie to?-**
Lecz w tym nie będąc, jednej tylko strony
Nie zna: ta właśnie jest rzeczy zaletą!

Gramatyk nie sam stał, po jednej stronie
Kupca fig, z drugiej mając gladiatora -
I coraz zdawał się pokłaniać skronie
W prawo, to w lewo - jak osoba chora,
Lub niemy, kiedy mówić chce o zgonie.
Pisarz te słowa jął czytać:

„Zaiste,
Ze świąt jeżeli które uroczyste
W obliczu prawa, to cesarskie święto;
Mąż, co tu stoi tak, jak go ujęto,
Jak świadczą starzy, znający go z bliska,
Nazwiskiem **Quidam**, że nie miał nazwiska,
Potem zaś przezwan **Gwido** - mąż zuchwały,
I czeladnicy jego - gdy wieczorem
Wieńce i lampy, naznaczonym wzorem,
W każdym się oknie rzymskim kołysały,
Nie tylko w tejże nie uszczknął radości*,
Lecz wyznał głośno, iż gorszyć to może

Chrześcijan słabszych, co w niewiomości
Są, jak Cezarskie rozdzielić i Boże?”

„Świadcze!” - odezwał się Pretor do grupy
Szpiegów i świadków, stojących pod słupy,
Do pół okrytych cieniem, w sposób taki,
W jaki się nocne kryć umieją ptaki,
Skoro je światło południa zaskoczy:
Że głos ich słysząc, nie widzisz osoby,
Osobę widząc, widzisz ją po oczy
I mógłbyś deptać, nie wiedząc - jak groby! -
Jeden z tych - gdy się wszyscy odezwali
Porządkiem, jakim w cieniu owym stali:
„Świadczymy!” - prawil:

„A ja oto właśnie
U siebie - biednym będąc - lampy cztery
Gdy zapaliłem, patrzę - jedna gaśnie!
Zgroza! - Gdyż cztery miały być litery,
Wyobrażone lampami czterema -
Tandem, łzy w oczach mając, szukam grosza,
By nową kupić lampę - grosza nie ma!
Tandem, cóż, mówić chciałem - ten jest Gwido
Ogrodnik, który coś składał do kosza,
Przed drzwiami domu stojąc - gdy ci sami
Dwaj drudzy, uczniu jego, właśnie idą,
Idą i mówią sobie coś czasami.
- Tu ja, że widzę drzwi nieozdobione
I ciemność: lampy że nie zapalone -

Nuż wołać, dalej przestrzegać, zaklinać -
I jak brzmi słowo, czytane wybornie,
Stało się - bowiem nie chcę już wspominać -
Przed Bóstwem raczej padając pokornie.”

To rzekł i upadł, a za nim i owi,
Co mu świadczyli, świadkowie świadkowi.

Upadek taki kapłan Jowiszowy
Widząc, garść mirry w kadzielnicę rzucił;
Toż czynił Pretor - i inny, i owy,
A każdy ściągał twarz, jakby się smucił,
Lub głową wstrząsał, lub ręce zakładał,
Jakby się ludziom na migi spowiadał,
I szukał ruchem coraz mniej kłamanym,
Aż znajdzie w sobie głos dość wiarogodny;
Bo głos mniej może niż gest być udanym,
I stąd mniej skory jest i mniej wygodny,
I musi w kłamstwo pierw zagaić ruchem
Drugich, aż tego się nazbiera wiele -
Wtedy zaś zwie się już **ogółu duchem**,
Wyrazem myśli w tym zbiorowym ciele,
I już się nie zwie kłamstwem - lecz **organem**,
Albo koniecznym ogniwnem tradycji,
Albo przyjętym trybem nieskłamanym,
Regulaminem mody lub policji -
W sposób iż człowiek kłamiący tam będzie
Przez porównanie białym jak łabędzie;

Dlatego właśnie, iż możność zachował
Zbłądzić - i oną wszech-prawość zepsował.

Na tak niejasne stąd patrząc budowy,
Zrozumiesz łatwo, co w nich człek wywoła
Zacny, cieniować gdy nie będzie mowy,
Przez miłość Prawdy wiecznego Kościoła;
Albo do tegoż o ile się zbliży
Prostak, mów swoich nie ważący zgoła,
Dla ludzi patrzeć nienawykłych wyżej
Równy boleścią bólom apostoła -
Acz ów **zuchwalec** przy **wyznawcy** stanie,
Często toż samo cierpiąc katowanie,
Dlatego tylko, by widziane było,
Pokąd człek może własną dotrwać siłą -
Lub aby świadczył, gdy inni kląć poczną,
Aż oba w raj u wieczerzać odpoczną.

Ta to różnica **męczeństwa i wojny**,
Że pierwsze, dając krew, jeszcze ją daje
Zmnożoną przez to, co dawca spokojny
Czyni, okrzętne łącząc obyczaje
Do datku swego - i kruszynę chleba
Tam, tak i wtedy daje, jako trzeba.
Daje tym samym krew swą - więcej sobą,
Do szczętu siebie dotrwając osobą,
Więc po-nad-śmiertną oblócząc już siłę,
Co zwija topór jak kartę u księgi

Znanej - na skrzypców smyk zamienia **piłę**,
A w nierozwity róży pąk **obcęgi**.

I jeśli dziwno, że w wrzącej oliwie
Jan święty krzepciej niż przed męką żywie,
To w mniejszym stopniu toż samo zjawisko
Jest ci zwyczajnym i znajomym blisko,
Gdy obok stawisz mściwego człowieka
I tego, który przebacza, a czeka,
Aż chwila przyjdzie, że przeciwność, w sobie
Zniósłszy się sama, do stóp padnie tobie.

„**Gwido** - rzekł Pretor - wstręt ofiarowania
Bóstwu, tym więcej winę twą odsłania -
Mów!”

„Za człowiekiem, szpiegiem, co przed chwilą
Padł na kolana, widzę wasze głowy,
Sędziowie moi! jak nie mniej się chylą;
Mąż ten podchwycił was gestem, mnie - słowy.
Nikt z was nie wierzy w Bóstwo Cezarowe,
Bo Cezar nie jest też od Apollina,
Jowisza, Bacha, roślejszym o głowę -
A ci że byli ludźmi, nie nowina!
- Jakoż, bez Boga będąc, szukacie go
W wyższości męża tego, to owego;
I stąd zaiste mam ja dla was litość.
Wszakże bez granic mieć jej nie mam prawa,
Bom nie jest **pierwszy** i znam przyzwoitość;

Mam wzgląd na wszystkich, których jest ma sprawa
Na tych, co byli przede mną sądzeni,
I tych, co będą, i tych, co są może
Tu gdzieś wśród ciżby ludu utuleni,
Jeśli zrządzenie ich powoła Boże.”

To mówiąc, pojrzał z tym skapstwem anioła,
Z jakim chleb łamiąc w ubogiej rodzime,
Ogląda ojciec, żali co nie ginie,
Im chętniej dając, uważniej dokoła - -

„Jakoż czci Boskiej nie dam posągowi,
Przez który kłamstwo wasze się stanowi,
I strząsam szaty, nie iżbym Cesarza
Klął albo zniżał, jak indziej się zdarza,
Lecz że go **cenię**. Wy, co wart, nie wiecie:
Wy uwielbiacie, cenić nie umiecie,
A że sprzed serca Boga wam zakryto,
Zowiecie Bogiem wszelkie *incognito*.”

„Na klęczki!” - Pretor głosem wrzasł takowym,
Jakim się sprawia szyk w polu bojowym -
Aż poszła cisza po rzeszy szeroko,
Jak po jeziorze nagła wiatru zmiana;
Aż w poczcie gwardii jękło coś głęboko,
Szablica jakaś spadła odpasana,
Czy trąby dwie się przypadkiem gdzie zbodły,
Czy głos tak dzielny był, a tłum tak podły.
„Czekaj! bom w ustach nie miał nic trzy doby -

Ja i te zacne dwie ze mną osoby,
A głos masz silny przez sytość i wprawę
W komendę - czekaj, niech zakończę sprawę.”

To mówiąc, Gwido chwiał się i był blady,
Jak gdyby mówił: „czczo-mi” - lecz pozierał
Na dwóch, co za nim stali, jak na ślady.
- Gdy ktoś, co dotąd o głaz się opierał
Przy jednej z kolumn, rzucił trzos i skinał,
Wołając: „Chleba! - hej - po trzykroć płacę!” -
Co rzekłszy, tak się w togi zwój owinał,
Że wraz skoczyli ludzie i, na tacę
Włożywszy chleby, ponieśli mu w górę,
Bacząc szlachetną postać i naturę.

Syn Aleksandra rzekł: „Ci ludzie, trzy dni
Nie jadłszy, omdleć mogą w osłabieniu,
Widzę to. „ - „Ktoś jest?” - szpieg zawoła z cieniu.
„Doktor!” - krzyknęło trzech, a byli zgodni,
Że posądziłbyś o wczesną umowę -
I - tu dwa kłamstwa stały w przesileniu:
Oskarżające i to, **co w natchnieniu**
Współ-miłosierdzia tchnęło trzech - ludowe.
Tamto formalne, to nieobmyślane,
Jak grom, co, nie wiesz, w którą wytnie stronę.

Gwido: „Bóg zapłać” - rzekł, gdy współ-skarżeni
Poczęli chleb jeść, a tak cicho było,
Że i najwięcej środka oddaleni

Słyszeli dziękę, jakby się im śniło,
Że tuż przy **Quidam** stali w onej dobie,
Bo ciszej było tam, niż bywa w grobie.

„Teraz - tak kończył Gwido - **już się stało.**
- Teraz, jakkolwiek broniłbym tej sprawy,
Nie uwolnicie nas - znam, bez obawy;
Więc posilone, jak jest, weźcie ciało;
Bo nie zniżyłem prawd przez ich oprawy,
Ni przez zuchwalstwo na szwank naraziłem;
Ni wywołałem nawet urągania,
Ni znikłem, marnym uznawszy się pyłem!
A to są sprawy nie do wybaczenia!”

„Dosyć!” - zawołał z krzesła wstając Pretor
I, dwakroć spluwszy, rzekł: „Ja tam nie retor.”

* Za panowania Adriana męczeństwa były rzadkie, ale **męczeństwo** trwało tym uciążliwiej, że właśnie pomiatano sprawami tymi, na policyjne je zamieniając kwestie. - Podobnych, o lampy, wiele spraw było, tym ważniejszych dla prawdy, iż te iluminacje zamieniały z czasem **drzwi na bogi!** Z tego zaś względu, iż męczeństwo w całej swojej wojennej ostrości nie wywoływane było, boleści dla prawdy były tym sroższe, że bezjawne i wielkiej wymagające baczności. - Co do właściwego znaczenia odpowiedzi Zbawiciela: „**Oddajcie co Cezara Cezarowi, a co Boskiego Bogu**” - ta przez Ojców Kościoła objaśnianą jest w apologiach, acz wystarczy nam dodać tylko: że zapytanie, które ją wywołało, należy do tych, **które nigdy nie powinny były mieć miejsca**, powiedziane jest albowiem, iż **Faryzeusz, kusząc Chrystusa Pana, zapytywał.**

X

Gdy w jedną stronę błysnął rząd pancerzy,
A w drugą - sądom wyższym odroczonech

Poprowadzono **trzech**, by zamknąć w wieży,
Tłum się ze schodów stoczył wywyższonych,
Od góry z wolna próżniejących z ludu,
Co zszedł się czekać krwi, buntu lub cudu.
Które z tych zjawisk wysłannik Jazona
Przyszedł tu znaleźć - rzecz nieodgadniona.
Barchob, z Judei rodem, nie Chrześcijanin,
Ani polityk, a tym mniej poganin,
Wymowy także oratorskiej zwrotów
Unikający, jak wstrętnych kłopotów;
Milczący szczelnie lub dwoistej treści
Słówkiem słuchane cechujący wieści;
Patrzący chwilę na postać człowieka,
Gdy odpowiedzi ten od niego czeka;
Niekiedy oczy, dokoła czerwone,
Uchylający w tę lub ową stronę;
Prońlem piękny, postawą wątpliwy,
Zakłęty zda się w mistrza swego ruchy;
Na cień zza Styksu może zbyt lękliwy,
Na męża nazbyt przejrzysty - jak duchy.
Pytania takie szybko przechodziły
Przez Aleksandra z Epiru ciekawość,
Gdy szedł z Barchobem, który dwoił siły,
Przez towarzysza pociągany żwawość,
I czuł się z zwykłych gestów wrywany
Powolnych - gestów może Mistrza-Maga.

„Nie znałeś Gwida? - „

„Gdyby mi był znany,

Byłbym z nim.”

„Słuszna zdaje się uwaga,

I przeto rzekłem ci: „**Nie znałeś Gwida**”-

A nie: „Czy znałeś Gwida ?” - zapytałem.”

Syn Aleksandra wstrzymał się jak dzida,

Kiedy osadzisz konia w pędzie całym,

Wzdrygnięta naprzód i w tył -

„Czy nie będzie

Za późno Mistrza odwiedzić Jazona ?”

„Gotów jest, mniemam, i zawsze, i wszędzie

Przyjąć „ - co mówiąc, otrząsnął ramiona

I wskazał ręką od Tytusa Łuku

Na bok, acz droga dłuższa i bez bruku*,

Dodawszy:

„Zwyczaj mam unikać huku.”

„Służę!” - towarzysz odparł mu i w cieniu

Drzew szli powolniej. Czas był ku-zachodni,

Jasny, że czytać mógłbyś najwygodniej;

Lecz czerwieniały już w słońca promieniu

Rzeczy, które są ostro rysowane:

Amfiteatru szerokie profile,

Trzy piętra łuków z głazu wyciosane,

Wnijścia do arkad zwężlonych zawile.

Rzadko kto śpieszył ku Kapitolowi,

Tam i sam raczej błędząc, jako w porze,

W której cel ruchu odda się ruchowi,

A myśl i mowę, **że pięknie na dworze** - -
Usposobienie to każdego ima,
Kto, w rytm idących tak wszedłszy, takt trzyma.

Tak więc wiódł Barchob z Epiru młodziana,
Gdy nagle spotkał kobietę podżyłą,
Służebną - ile z tego, jak odziana,
I z kosza w ręku wnosić można było,
A Egipcjanke - co wraz poznać z cery
I z ust, lecz pierwej z ruchów bez maniery,
Uspokojonych abnegacją pewną,
Dziwną - że wzięwszy się, by kosz postawić
Lub wzniesć, mniemałbyś, iż ma błogosławić,
I że - udając sługę - jest królewną.
Tę piękność wszakże, co z przetartej szaty
Wyzierać zwykła, mijał Rzym bogaty,
A retor, fałszerz daru i uczucia,
Krył ją w misternie kwiecione zepsucia -
I ledwo dostrzegł jaki Grek - atoli
Grek, gdy postradał Grecję, więc, co boli,
Nie mając ziemi, zna, że gdy brak **kraju**,
Ojczyzna dwakroć większa, sięga raj! -
Rzym w estetyce był już, jak za wiele
Wieków Galowie w błotach swych być mają,
Albo Anglowie - gdy przypuszczę śmieie,
Że ci na przykład świata ster trzymają,
I tworzą sobie Rzymy jakie nowe,
I smak, i piękność wedle siebie głoszą,
Nie dramatyczną - lecz bóstwo jałowe,

W którym nie chodzą żywi - które noszą
Jak *fasces* - słowem coś, co jest niezdrowe.

O barbarzyńcach tych młodzian tak marzył,
Gdy Barchob mówił z niewiastą znajomą,
Aż nagle, patrząc w kosz, jak kwiat się zwarzył
Owiany szronem, i tak nieruchomo
Patrzył, jak gdyby dno kosza niejasne
Czytał - zaiste, czytał: **pisma-własne!**

* Przez łuk tryumfalny Tytusa, po zburzeniu Jerozolimy zbudowany. Żydzi patrioci przechodzić nie lubili

XI

Przez bramę miasta, przez winnic kwadraty,
Furtki owiane w roślin aromaty,
Którym bluszcz służy jak zwiewna zasłona,
Strzegą zaś ręką nie sadzone kwiaty -
Przechodzić trzeba do Mistrza Jazona.
Nareszcie, skutkiem tej różnaitości,
Dziwniej niż prędzej, stoisz tuż przy murze,
W który się schody zanoszą nieduże
I wisi młotek brązowy, w kształt kości,
Zerdzony spodem, od wierzchu świecący,
Że go gość każdy oczyszcza niechcący.
Tym raz uderzasz, i wchodzisz w ciemnicę,
Bo dalszy schodów ciąg od furty pnie się
Nie już do domu, lecz znów na ulicę

Wyższą tarasu; ten jest, jako w lesie,
Sosn włoskich rudą kępą ocieniony -
I jak sznur prostą ścieżką przekreślony.

Za tej zaś ścieżki końcem, widnym oku,
Nie sterczą mury domu na obłoku,
Lecz tak się miesza wzrok wśród drzewnych alej,
Że iść tam musisz, by wiedzieć, co dalej -
Ścieżka ta bowiem, od samej połowy,
Dwie strony mając, jak leśne parowy,
Coraz się głębiej wrzyna w gaj sosnowy,
I coraz gęściej starym świeci brukiem,
Z fragmentów różnych złożonym jak smętarz:
Ten, że był urną - owy może łukiem,
Ten sarkofagiem, biustem - ów, pamiętasz,
Że gdzieś w frontonie świątyni ma brata,
A wszystkie dobrze zrównane i w skazie
Każdej otkane mchem - z dala - jak krata
Zielono-złota leżącym na głazie.

To - już podwórzec; dalej - zwykłym wzorem -
Domostwo, tylko że zawsze otworem.

Barchob był może gdzie w drogi połowie,
A Egipcjanka w domu swojej pani,
Kiedy Mistrz Jazon Zofii badał zdrowie,
Czy horoskopy składał jej lub dla niej,
Artemidora zostawiwszy w sali

Niższej, gdzie mnogich rękopismów wstęgi
Leżały w wazach, i kompasów kręgi
Ryte, i zodiak, i bogowie stali.
Fontanna w środku niska, z brązu lana,
Z gipsu popiersie nad nią Adryjana.

Drzwi do tej sali, będąc otworzone,
Przysionku wewnątrz odsłaniały oku;
Drzwi od przysionka niemniej inną stronę
Podwórza w ramy swe, na kształt obłoku,
Obejmowały - a światło, złamane
Po dwakroć, biło prosto na fontannę.

Tam Artemidor siedząc, niewesoło
Poglądał, jako osoba znudzona,
Na ogół rzeczy leżących wokoło
I słuchał wody kroplistego grona,
Rozperlanego wciąż w brązową wannę
Przez łkania swoje i łzy nieustanne.

Czy Mag na górze z Zofią był podobnie,
Jak ten z fontanny szmerem, zatrudniony?
Nie wiem. Czy pani mówiąca ozdobnie
O drobnych rzeczach z nie znanej mu strony,
O drobnych czuciach niezmiernie żalobnie,
O głównych prawdach często, lecz z ich strony
Kolorowanej przez tychże opony -
Czy pani przy tym dziwnie ujmująca
Wdziękiem, co blado promienił jej z czoła,

Jako Dyjannie grzebień pół-miesiąca,
Czy, mówię. Maga obchodzi? lub zgoła? -
Nie wiem. - Wszelako Mistrz Jazon miał drobne
Słabostki, z dala patrząc, niepodobne
Do solenności, w którą się obłóczył.
Baczył na przykład, żeby wzgląd na stopnie
Ceremoniału chować, i jak? - uczył,
Domawiać lubiąc słowo to: „**roztropnie**”.
Świat oficjalny nie był mu przeciwnym;
Owszem, powoli ocierając czoło,
Zwykł był nazywać go „cale naiwnym”.
- Gdy mówił: „Cesarz”, nie patrzył wokoło,
Jak augurowie i filozofowie,
Lecz palcem krymki dotykał na głowie
I mówił głosem - co wielu baczyło -
Takim jak Cesarz mawiał, z taką siłą:
Acz w tym najmniejszej przysady nie było.
Filolog wielki! greckiego zażywał
Z Rzymiany, nie dość wyznając się wprawnym
W łatyńską mowę; gdy ucznia przyzywał,
Z fenicka mawiał doń lub innym dawnym
Językiem, pełnym szeptań i przydechów.
Chrześcjan - znał mało, lub gdy mawiał z niemi,
To o lekarskiej sztuce, płodach ziemi,
Też jak z niewiasty - nie stronił i śmiechów! -
Dziwny mąż! - Cesarz, że był wiedzy chciwy,
Znał go lub wiedział, kto jest ów sędziwy,
Ze swoją laską włóczyący się długą,
I Charonowym nazywał go sługą.

- Mistrze stopniami byli z nim w stosunku,
I mnóstwo osób znało - tak - z trafunku.
Wędrowni męże z za **wielkiego-morza**,
Biedni - mówili, że jest: **ręka Boża**,
I nieraz ciche widziałeś osoby
Przed perystylem Magowego domu,
Na grobów ziarnkach siedzące jak groby,
Obce w stolicy, nie znane nikomu,
Łokciami wrosłe do kolan od brody -
Gdzieś spętanego narodu - rapsody.
Niejeden leżał tak w blasku księżyca,
Na nocne mało uważając chłody,
Pod murem, inny w kuczkę, jak kotwica,
Zwił się, i słońca przeliczał zachody.

Mistrz Artemidor - kto znał go już bliżej -
Szersze od Maga wykładał pomysły.
Natchniony nawet bywał, lecz nie ścisły,
I niewątpliwie, że wszystko brał **niżej**;
Acz, potracony Jazona milczeniem
Lub wątpliwością dziwnie wyrażoną,
Wzbierał - i takim porywał natchnieniem
Orlim, że słuchacz z żadną nie stał stroną
I, gdzie przechylić się, nie wiedział wcale,
Co Jazon zwykł był zwać: „**nie-nowe ale - -**”
Mędrców tych bliżej badając dwoistość:
Wzniosłość - Koryntczyk znal. Mag - uroczystość,
I była jedna między nimi strona
Nieprzełomliwa, jak czasów wyroki,

Wyczerpniętymi słowy naznaczona -
Po czym w dwie strony obracali kroki,
Milcząc - a znali tak ową granicę
Czuciem, jak mało wiedzieli, czym ona?
- Gmin w tym dwóch mędrców widział tajemnicę,
Która ich łączy w jednego olbrzyma,
Głów mającego dwie, cztery ramiona;
I myśląc, że to w jedności ich trzyma,
Co rozpychało ich lub rozdzielało,
Zbliżoną napaść za jedno brał ciało.

Schodząc Mag z Zofią, te jej mówił słowa:
„Niewiasto zacna - to tak - w tej już chwili,
Mniemam, że lepiej czujesz się - żeś zdrowa;
Nie iżbym odjąć mógł - jak to robili
Dla innych inni - niemoc wyższą mocą;
Bo nie ten **przedmiot** spotykam przed sobą.”

„Zaiste - przyszłam, jakby czując, po co” -
Odrzekła Zofia -

„Inną może dobą -
Mistrz Jazon mówił - o księżycu nowiu
Dano mi będzie znać o pełnym zdrowiu -
Dasz mi znać.”

„Jako? - przyjdę? - czy Barchoba,
Czy ciebie. Mistrzu, w progach mych zobaczę?”

„Rzecz jest, rzecz będzie, nie ma być osoba?”

- A potem dodał zimno: „I ja raczę

O kiju przywlec się, gdy przyjdzie pora.”

Tu zaś obrócił się do Artemidora,

Dla dwojga razem grzeczność dając jedną,

I wspomniał: „Wiele niech nie czyta chora -

Szkoda, że stare rękopisma rzedną.

Dobrze jest miewać wzgląd na autora,

Kiedy się czyta - cóż za rzecz przedziwna

Czytanie! - jako gałązka oliwna

Lub migdałowy kwiat.”

Koryntczyk rzecze;

„W tym względzie panią, ile mogę, lecę.”

A Jazon dalej: „Kiedyś, wchodzi do mnie

Osoba, oczów prawie pozbawiona,

Ból swój i żalność wyrażając skromnie;

Za nią tuż - lektor, głos mający równy,

Czysty jak woda dobrze przecedzona,

Nie wiem, czy taki, czy inny jak ona.

- Ten, choć niósł pisma w torbie, nie był główny,

Bo dalej jeszcze szedł autor tych rzeczy.

Dnia tego, tyle mając do przyjęcia

Osób, nie mogłem dosyć mieć na pieczy,

Ile dać kropel - jakie owinięcia? -

Nie wiem, co z tego będzie ? - czasem doba

Przeszkodzi, czasem przeszkodzi osoba,

Czasem - „

Koryncki mistrz poprawił togi,
A Zofia w czoło patrzyła Magowi.

„Czasem - do siebie mają to i **progi** -
Czasem wszystkiego człowiek i nie powić,
Co miał powiedzieć, i zgadywać trzeba,
Jakiego komu dać o ile chleba-”

To mówiąc z wolna, przerywanym głosem,
Poglądał w ziemię, i gładząc siwiznę,
Coraz to rzucił wyplątany włos,
A usta, jako gojącą się bliznę,
Pogodnie zwijał i od brwi falami
Do góry zmarszczki mnogie podejmował,
I zamilkł. Strząsnął potem raz palcami,
Jakby zapomniał coś albo żałował -
Akcent, co długo nie dał do myślenia,
Czy się już wątek nowy nie wysnował?
Tak - iż koryncki Mistrz, bez omówienia
Ku drzwiom pojrzawszy, najprzód wstał z siedzenia.

Skąd Jazon wiedział, że Zofia doń niosła
Rękopism owy, dziwnie znaleziony?
Skąd? - że i autor nie był oddalony -
Bo szedł z Barchobem - ciekawość choć rosła
Nieraz w słuchaczu takich Maga gadek,
Nikt tego jednak wybadać nie umiał,
Lub szukał w sobie - czyli je zrozumiał? -
Czy nie trafiło się to przez przypadek? -

Wszelako słowa te: „**Osoba ciemna,**
Za nią jej lektor z rękopismem - dalej
I autor tegoż” - jako nieprzyjemna
Wieść brzmiały Zofii, gdy przez gaj wracali.

XII

Syn Aleksandra, słysząc z mów Barchoba,
Kto była ona służebna osoba,
Także, skąd niosła drobiazgi kobiece
W koszu - skąd przez tę wracała ulicę -
Milczał, lecz w sobie pamięcią przezierał,
Co ów zwój, trafem zgubiony, zawierał?
- I, choć z Barchobem rozmawiał potocznie,
Wciąż miał zwój pisma własnego zaocznie,
Które że było raczej pamiętnikiem
Rzeczy i wrażeń nie dzielonych z nikim,
Do swobodniejszych odroczonej czasów,
Pełnym doraźnych skrótów i nawiasów -
Dośledzić nie mógł lub nie czuł się w stanie
Zgadnąć, co pism tych wywoła czytanie? -

W sposób, iż przedmiot, jednym odniechceniem
Zrzucony z stołu w drobiazgi doręczne,
Jednym usłużnej ręki poruszeniem
Podjęty z koszem tam i sam noszonym,
Mógł się stać dwakroć większym zagadnieniem
Niż najciekawsze z zapisanych w onym.

Tak więc szli k'sobie, tym samym sposobem,
Z Artemidorem Zofia od Jazona -
I Aleksandra syn tamże z Barchobem:
Ci różniej - tamta opieszalej strona.

Zofia, swobodnie czując się na sile,
Przez ciemną sosen włoskich kolumnadę
Idąc, mówiła: „Wszelką Maga radę
Zebrać by można w **o tyle, o ile**,
W preceptę z liczby i z czasów wysnutą;
Lecz słów misterstwo i określeń dłuto,
I ta powagi całość skąd pochodzi? -
Nie wiem! - z tym człowiek, mniemam, że się rodzi.”
To mówiąc, kwiaty zrywała, lecz owe,
Które się w parów schylając podłużny,
Do rąk jej - czoła swe chyliły płowe,
Jak smutne dzieci żebrzące jałmużny -
I szła, co czyni, nie bacząc, lecz różniej -
Gdy Artemidor wreszcie jej odpowie:
„Jazon - tu przestał - jesteśmy w przyjaźni -
Tu znowu przestał - wielu wraca zdrowiej
Od Mistrza tego do siebie, lecz mało
Z krystaliczniejszą myślą powracało -
Tak - iż dwie z jednej idą stąd choroby:
Choroba myśli gościa lub osoby -
I dwóch Jazonów w mieście by się zdało
Na dwóch kończynach wielkiej czasów strugi,
Co jest jak Tyber -”

„Tyś jest Jazon drugi” -

Odrzekła Zofia - -

„Pani - Mistrz jej zada -

Jeśli zgadujesz rzeczy za-styksowe,

Któż sama jesteś?”

„Wyobrażam **sowę**,

Zwłaszcza iż słońce właśnie że zapada;

I będę mówić ci o każdym z ludzi.

Którego spotkam: **czym lub kim** się zbudzi.”*

Tu się ku furtce tarasu zbliżali,

Lecz ta skrzypnęła prędszym ruchem od nich.

I w ramie onej, na łunie z opali,

Wśród błakających się blasków zachodnich,

Dwa kształty rosły mężów dwóch przychodnich.

„**Któż jest ten pierwszy Quidam?**” - rzekł do Pani

Towarzysz, dalej prowadząc rozmowę,

Gdy wraz zbliżyli się wzajem poznani,

A Aleksandra syn rzekł: „**Poniósł głowę**

Pod topór może.” - „Co to znaczy? -

Kto?” - i przez chwilę trudno zgadnąć było,

Co pozdrowienie takie zagaiło,

Co ten a owy w słowie *quidam* baczy,

Co Zofia słyszy, co Barchob rozumie,

Co Artemidor - czworo - lecz jak w tłumie.

Jeden więc płochy żart myśli niewieściej,
Niedosłyszenie jedno, i nazwisko
Męża - co świeżo oddan jest boleści,
Zrobiły zamęt, który stał już blisko
Sprzeczek, albowiem pomieszał powagi,
O ile prawdy nie znosiły nagiej.

Mistrz Artemidor czuł się może nieco
Wypartym z blasków, co jak Febu świecą,
Czyniąc go zawsze stojącym wspaniale,
Utwierdzonego na słonecznym wozie
W nieodpocziwej swej apoteozie.

Zofia też, którą, jak Safo na skale,
Gmin przywykł mniemać wiszącą u liry
Dłońmi, a rąbkiem ledwo szaty nikłej
W nieodgarnięte zaplątaną zwiry -
Czuła się w roli swej zachwianą zwykłej.

Barchob pojmować nie mógł, że wypadek
Może mieć miejsce - a jego towarzysz
Stał jako powód sprawy i jak świadek -
Co, jeśli dobrze, jak zaszło tu, zważysz
I zwiększysz w postać takiego ogromu
Jak Rzym - odpomnisz niejasne powieści
O Chrześcijanach, iż są plagą domu,
Który ich ciche osoby pomieści;
Tudzież o znaku **linii dwóch przeciętych**,
Co tych przeklętych strzeże czy tych świętych;

O cieniach zmarłych i nazwisk ich sile
Takiej, że wzmianka sama robi tyle -
Tyle niesmaku i roz-społecznienia,
Dla jednej **nazwy** - mniej: dla **nazwy cienia!**

Tak się i stało - przy onym spotkaniu,
Gdzie wyraz: *quidam*, ład pomieszał cały,
Aż po stopniowym myłki sprostowaniu
Postacie w formy dawne powracały,
Tylko zbliżone lekkim przypomnieniem,
Że jednym błędem je raz ogarnął cieniem.
Więc - zapewniwszy, że się od-zobaczą,
Do miasta jedni szli, drudzy do Maga,
Lecz Zofia odtąd zgadywać się wzdraga,
Kto są przechodni ludzie i co znaczą
Tam, gdzie wszech-duchów zawisnęła waga.

* Żart ten odnosi się do mniemania Pitagorejczyków o przechodzeniu dusz.

XIII

To już dwa wieki od Grecji pogrzebu,
Gdy biały duch jej podniósł się ku niebu
W szlaki dokonań, dzielone na stacje
Gwiazdami dziejów, między konstelacje:
I stał tam z lirą w przestronnym lazurze,
Na resztę dziatwy patrząc rozproszonej,
Co tu i owdzie, przy pękłym marmurze
Stojąc, liczyła tryumfy i zgony -
I czekał, jako narody zabyte,

Aż wszystko będzie do szczętu spożyte -
Aż Grek ostatni przymiotem lub winą
Zginie, i myśli same się rozwiną,
Wpisując w teżę porządek litery,
Ile są wieczne - Greków drugiej sfery,
Zrodzonych może u krańców Północy*,
Co, jak rodzeństwo, zbiegną ku pomocy.

Rzym wtedy swym się Adryjanem cieszył,
Mniej bacząc, co się między gwiazdy działo,
Sto razy na dzień bok duchowi przeszył
Greckiemu rzymski, w swe go strojąc dało;
Lecz najswobodniej męźniał sam w tej sile,
Co, wolna marzeń, sypia na mogile;
Sile wyższego coś mającej może,
Lecz przez zakryte jej widoki Boże.

Więc rzymski szlachcic jeszcze rad był Greka
W biblijotece chować, gwoli rzeczy
Piśmiennej, która wolnej chwili czeka,
Albo z ckliwości w dni deszczowe leczy.
I słuchał bajek spisanych w Homerze,
Tak - jak komedii przeciw-sokratejskiej,
Dowcipnej, że aż śmiech nieledwo bierze;
Lub stawiać łaźnię, czy ratusz gdzie miejski,
Grekowi radził zmieniać kapitele
Kolumn- **ten, środki że znał - a ów cele.**

Greki przeto młodzi prawili o Sokracie,
Myśląc o rzymskich podatków zapłacie,
Lub tryumfalny stawiając łuk - - kolumny
Przepraszał w sercu, i dłuta czuł zgrzyty,
Gdy duch mu Grecji szeptał: „Nie bądź dumny,
Lecz cierp - ulecisz za mną na błękity.
Tyś mistrzem ziemi tej - a Tybru glinę
Na posąg w ręce wziąłeś - nie zaginę!”
- Inny - syrenę tę, z pół-rybim ciałem,
Bez wrzących pulsów, odepchnął daleko,
Idąc - za coraz nowym ideałem
Coraz nowego mistrza; co ci rzeką?
Posłyszeć - chwilę rozgorzeć - „**Skonałem -
Wstałem**” - zanucić radośnie, lub w dobie
Trudnej z Zenonem** pomyśleć o grobie –

Nie był to wszakże czas rzymskiej potęgi,
Bo już Rzymianin znał się, że **realny**,
I zapisował porządnie do księgi
Edykt ten albo ów **perpetualny**,
Ciesząc się więcej edyktów porządkiem
Niż rządem - najmniej ciesząc się ich wątkiem.
Niewolnik chyba lżej posuwał kroku,
Czując, że ręką ktoś go wiedzie w mroku;
Lecz zali Cesarz to był? lub właściciel? -
Nie znał - i wietrzył - jak spóźniony mściciel.

Żyd - milczał w izbach zawartych jak trumny;
Chrześcjanin zniknął, lecz jawnie i w czynie,

Jako - przy świetle kagańca - kolumny
Też same zawsze, czy je olśnisz, czy nie - -

A jako bywa wśród ległych ogromów
Myśli lub ciała, że w proch się trą nikły -
Tak już rozgłośnie **systemy-atomów**
Brzmiały: te zawsze jedno znaczyć zwykły! -
Znaczyć - co znaczy na zimnej miednicy
Popiół, gdy mirry braknie w kadzielnicy.

*

Ci, co wchodzili do Mistrza Jazona,
Ujrzeni rękę jego wyciągniętą
Na znak, by siedli. - Lampa zapalona
Przeciw fontannie płomień niosła kreto,
A blaski onej, rosą odkroplane,
Drżącymi światły wbiegały na ścianę.

Mistrz siedział, nogi mając wzdłuż podane,
Jak się na niskim spoczywa siedzeniu,
Lecz nie odmienił nic w swym zamyśleniu,
Tylko niekiedy dłoń podnosił k'czołu,
Szerokim łokciem przypartą do stołu,
Jak człek na pierścień gdy patrzy - lub mniema,
Że czas już powstać, ale woli nie ma.
Po chwili w stronę gościa wruszył głowę,
Lecz do Barchoba wraz zatoczył lice,
Mówiąc: „**Co zaszło?**”

„Zdarzenie mniej nowe
Niż smutne” - odrzekł, patrząc, jak na świecę,
Na wzrok Jazona, który nań promieni!
„Chrześcjanin Gwido mówił - to i tyle” -
Tu zmiłkł i blade lica zarumienił.

„Cóż oni **mówią?**” - Jazon rzekł powoli,
Bez pytajnego akcentu, ni soli.
„**Cóż?**” - odrzekł Barchob, jak echo gasnące -
I była chwila ciszy, która boli
Jak głośne kłamstwo, lub prawdy ginące
W czasie, gdy wszystko mają, oprócz woli –

„Mówił - gość rzecz po niejkiej chwili -
Że bogi więcej od Cesarza czczone,
Jako Apollin i Bach, ludźmi byli -
Że są prawdziwe rzeczy i zmyślone -”

Kiedy to zdawał gość głosem nierównym,
Mistrz Jazon, głowę uchylwszy w stronę,
Słuchał, lecz widno sens mu nie był głównym
Przedmiotem treści tak wypowiedzianej -
Lecz słuchał, jakby kto? mówi sens znany.

I znów fontanny tylko łyż perione
Brzękły - czy Barchob cofnął się do ściany.

„Że są prawdziwe rzeczy i zmyślone,
Jest fałsz - i prawda” - Jazon zimno doda,

Patrzac, jak kropli sie w fontanne woda.

„Skad rodem jesteś?”

„Z gornego Epiru.”

„Szkoly? -

„Roznego zazywalem steru

I oto pismo mam Artemidora.”

Wzial je i, patrzac dookol sali,

Wyciagnal reke ku bazie Kastora

Z Polluksem - rzucil - i pojrzal, azali

Leglo? - jak czlowiek lekarstwo wazacy,

Niby roztropnie i niby niechcacy -

Potem rzekl:

„**Cesarz!** - jedrny glosem wcale -

Panuje mdrze nad szerokim krajem,

W ktorym sa ludy **jednym** zjete losem,

Rozne i rozny zywe obyczajem - -

Obyczaj jeden - trwa lat sześćset, trzysta;

Inny znów ośmset lat - człowiek nawzajem

Obyczajowi służy, jako może,

By przecie robil coś! acz jest **chwilowy**” -

To zaś litośnie poparł ruchem głowy -

„Więc trzeba cenić, gdy dziecię, **po wzorze**

Piszac, doklada i swój trud jałowy!”

Tu przetarł włosy i sprysnął palcami,
I rzekł: „Innego dnia będziemy sami -
Teraz już późno.” - Wstał. - Barchob na strome
Ku lampie miał się.

„Zrodzona w Sycjonie
Czy w Knidos? - jest tu poetessa pewna:
Grecja do siebie ma, że **była** śpiewna.”

Mówiąc to tonem żegnalnego słowa,
Mistrz Jazon ginął w mroku wielkiej sali.
Syn Aleksandra czekał, aż ta głowa
Siwa, od lampy oświecona w dali,
Zmierźnie i jako meteor się schowa;
Potem - stał jeszcze, jakby słuchał nieco,
Co zmówi powieść wody różańcowa,
Skoro ją blaski księżycyca oświecą,
Już nie łamane od ognia płomieni;
A potem westchnął i wyszedł. - Noc była
Widna; podwórzec usłany z kamieni
Biełał, lecz w każdym pierwsza myśl odżyła,
Skąd był? do czego złamkiem swym należał?
I każdy z głązów tych, zdało się oku,
Że przypominał się znajdować w tłoku
Wstrzymany, ale nie ówdzie, gdzie biegał -
Stąd niemy lament między tymi bruki
Czułeś i różnych wyteżeń splątanie:
Co Aleksandra syn baczył, jak wnuki,
Gdy legend poczną skwapliwe czytanie,

Słyszac chód znany, szelesty i stuki,
I nieuważne mieczów potrącanie,
Takie, że - rzekłbyś - dziady szli ku tobie
W miarę twojego zaczytania w treści,
Lecz wstrzymywali się, chowając w grobie,
Ilekróć brałeś rzecz ich za powieści,
Lub zmianą ruchu wypocząłeś sobie.
Szedł więc ostrożnie, jak wśród rzeczy żywych,
Przez on podwórzec ku parowu jamie,
Plamami cieniów pstrej od sosen krzywych,
Wiodącej ścieżką swą ku znanej bramie;
Tu - ówdzie - bacząc leżącego w ciszy
Męża, co w śnie się przewraca lub dyszy,
Albo półsennej modlitwy domawia,
Płaszcz strząsa, kamień pod skronią poprawia.
Ci wszakże goście senni - byli jemu
Bynajmniej dziwem; każdy ich widywał
I mijał - myśleń aby nie przerywał
Lub snu, lub mowa ich że całe inna
Od rzymskiej, albo że postawa gminna!

Syn Aleksandra, owszem, myślał raczej:
„Oto tu Zofię spotkałem - tą drogą
Szła - cóż pomyśli, skoro mię zobaczy? -
Co mi odpowie i z jak wielką trwogą -
O pamiętniku gdy wspomnę zgubionym?”
Dalej - „**Jak wspomnę?**” - myślał jeszcze dalej
Chwilę: „co było w pamiętniku onym,
Że rad by przejrzeć go, że potem spali -

Acz wiele mógłby dopełnić miejscami.”
I tu mu **Gwido** stanął przed oczami
I **Mag**. - Postacie te mało podobne,
Pamięci próbą nieco oddalone,
Rozjęły mu się w kształty dwa, osobne:
Wspomnienie Gwida, ściśle określone
Czynem, w jasności dokonanyw dzieńnej,
Żywotny miało blask, bynajmniej senny;
Szczegóły wszystkie dośrodkując **w czynie**,
Po lada fraszce przypomnieć się dało,
Jak chleb ten samy smak ma i w drobinie,
Co w bułce - albo jak toż samo dało
W ćwierciach na cyrku, gdy męka już minie -
Wszakże, nie mając strony tajemniczej,
Nikło jak **zwykły** fakt, bo **niezwodniczy!**
- Wspomnienie Maga było, jak tych rzeczy
Kosztownych, z miasta spalonego wziętych,
Które dopełnia wzrok i patrząc leczy:
Posągów takich gromami pociętych
Nie zapominasz, jak roboty własnej,
I jasny ci ich kształt, gdzie był niejasny,
A ciemny ówdzie, gdzie w pełnej trwał sile;
W sposób, że ileś włożył w nie, znasz tyle.
Mistrz Artemidor w przeglądzie takowym
Wspomnień mniej więcej został jednakowym;
A Zofia coraz w myśli się wtrącała,
Jak rzecz zgubiona, ciekawa, choć mała,
Którą odnaleźć gdy się człek usadzi,
Nie idzie o nią, lecz traf ją sprowadzi.

Tak marząc, nagle w pobocznym rozstępie
Drzew ku księżycem olśnionej płaszczyźnie,
Usłyszał łoskot - jak gdy skrzydło sępie
Bije, jeżeli wąż się w gniazdo wśliźnie -
Łoskot w przestanki porwany gniewliwe,
A dalej słowa zgryzione namiętne,
I znowu łoskot - jak w ciało nieżywe -
I echa, tętno liczące po tętnie,
Tępe jak kropel rzucanych po ścianie
Spadki, lub suchej gałęzi trzaskanie.
Tam więc skwapiwszy się, gdy patrzył chwilę,
Ujrzał naprzeciw biustu Apollona
Postać jakoby męża w wieku sile,
Wzruszającego raz po raz ramiona,
Tam i na powrót kroczącego gniewnie,
Jak gdy kto swego fuka niewolnika
Lub klnie, tylko że sługą był tu pewnie
Kamienny bożek bez sił i języka.
Tego więc plwając, pokoić się wracał
On mąż i siadał chwilę na uboczy,
I znów przypadał doń, pięściami macał,
I milkł - i siadał znów - zakrywał oczy - -
Scena ta, zwłaszcza przy świetle niepewnym,
Zatrzymywała wzrok na chwilę długą,
Uczuciem widza me przejmując rzewnym.
Czasu, gdy nieraz krwi gorącej strugą
Cucono rzesze na cyrku znudzone,
A rzadki wierzył - i trza było może
Wierzyć, by kopać wizerunki boże! -

Syn Aleksandra patrzył w stronę ową
Długo, nie wiedząc równie, co to znaczy,
Jak, co ma począć? - aż sam sobie mową
Przerwie: „**Co to jest?!**” - i głośno zahaczy
O tuż leżące suche drzewa łomy,
Jakby ostrzegał: „**jest ktoś niewidomy.**”
Czego gdy echo zabrzmiało dokoła,
Znikał on smagacz, nie rzekłszy: „**kto woła?**”
A Aleksandra syn, z śmiechem czy bolem,
Szepnął: „**Jestem mu Gwidem czy Apollem!**”***
- Z śmiechem czy bolem? - ciekawość albowiem
W sumienia względzie bolesną jest rzeczą,
Której najcierstwszym nie poradzisz zdrowiem
Ciała - ni środkiem, którym ciało leczą,
I fraszka nieraz mała - gdy **zapyta**
Sfinkсовym głosem - na długo myśl chwyta.
- „Któż jest on gniewny smagacz Apollona?
I czemu w nocy - w ogrójcu Jazona -
Jeden z tych cichych mężów, co przy domu
Siadywać zwykli w wędrownej gościnie?
Czy i sam Jazon, nie znany nikomu
Z wiary swej - jest w tej ceremonii, czy nie?! -
Czy to hebrajskich mędrców jest robotą,
Chrześcjan czy także nie winują o to?
- Lecz Artemidor tak bliski z Jazonem,
Wtajemniczony w Maga wszystkie sprawy.
Cesarz go ceni; Gwido zaś - ten zgonem
Własnym na jawie walczyć umie z tronem.
Nie! to szalony ktoś, lub dla zabawy,

Lub który z chorych doktora Jazona
Wybiegł, księżycu opętan promieniem;
Lub nieszczęśliwy czciciel Apollona
Za liche wiersze mści się nad kamieniem.”

To myśląc i tej gdy doszedł swobody,
Która mniemania daje wyjaśnienie,
Syn Aleksandra szedł jak człowiek młody,
W powietrzu, które nagaba sumienie,
W powietrzu zwianym z przedświtem Epoki
Nowej, z mętami starej - z siarką, z solą,
Z szeptaniem kształtów nikłych jak obłoki,
Z bitw gwarem, które mają być, a boją;
Powietrzu, które, czujesz, że się może
Zapalić wkoło, jak pomiotło Boże,
I kometami rozstrzelić - miast wiele
Zmazać, i ludzi porównać w popiele.

„Spocząć! ach, spocząć!” - serce wtedy woła,
Szukając wkoło, gdzie by się oparło:
Na piersiach czyich - lub progach kościoła
Jakiego? - wąpiąc, czy jedne umarło,
Czy wszystkie zmarły, a jedne nie zdoła! -

Noc to, w czas której ten i ów powstawa,
Nuąc lub klątwy rzucając niewczesne,
A prawda ludziom zda się jak zabawa,
Zabawa - jako strapienie bolesne:
Słowo jest ogień - milczenie jest lawa -

Jakoż szczęśliwy, kto wstawszy, gdy ciemno,
Nie dotknął liry swojej nadaremno,
Przedświtu blasków doczekał, a potem
Wytrwał i, dniowy jaw jakkolwiek **szarpie**,
Wytrzymał burzę, co przemija grzmotem,
I skubie tęczę - dla serca - na szarpie.
Jakoż szczęśliwszy, kto nie posiał solą,
Mimo że słonych łez niemało strawił.
- Lecz nie tu koniec z uprawą i rolą.

Kto siał gorzyczne ziarno, **zgorzknął, zbawił**:
Gorzyczne ziarno liche i pieprzowe,
Prochowi równe, który noga zwiewa,
Lecz wyżej serca urasta, nad głowę,
I tak się staje podobieństwem drzewa,
Że ptak niebieski gniazdo na nim miewa.

* W kilkanaście wieków Byron jedzie służyć sprawie greckiej.

** Z Zenonem o samobójstwie.

*** „Jestem mu Gwidem?” Odniesienie myśli do zajścia na karcie 196
[tu s. 134] skreślonego: „Gdzie wyraz: *quidam*, ład pomieścił cały.”

XIV

Lucius Pomponius Pulcher, pod tę porę,
Najzawołąnszym młodzieńcem był w Rzymie:
U niewiast, które szaty różnowzore
Noszą, czarownic zwykło brzmieć to imię;
U niewiast, które zaniechały *pallę**,
A włosy w rąbek ku górze od skroni

Zgarniając, cztery naraz mówią: „*Vale!*” -
Imię **Pomponius** brzmiało jak: „**Do broni!**”
W legiach - lub jako - o! publiczny wstydzie -
W zebraniu tłumnym poszept: „**Konsul idzie.**”

Pomponius ród swój szlachetny wywodził
Przez senatorskie krzesła. - Za Trajana
Z Pliniuszem Młodszym jeden z nich **gdzieś** chodził
W Egipcie, drugi jadł u Domicjana -
Inny posłany był w panońskie szlaki
Jako generał, skąd koni i siana
Sprowadził naraz tyle, że żołdaki
Z prowincji i lud, sprawy tej spektator,
Już, już wykrzyknąć chcieli: „**Imperator!**” –

Lucius Pomponius Pulcher nie był wiele
Ćwiczony w rzeczach mądrości i prawa,
Lecz miał do siebie to, że mawiał śmieje,
I to, że rzymska kochała go Sława.
- Urzędem żadnym jeszcze się nie bawił,
Lecz znane było, iż w **Villi-Pomponii**
Ogrodowemu bogowi postawił
Świątynię; wszakże nie uczęszczał do niej,
Filozoficzne swe mając mniemania,
O których z czasem **miał napisać nieco**,
Co wszakże słuszne zwlekły odkładania,
Aż się **te rzeczy utną** i rozświecą -
Tymczasem Cynrie słały mu spojrzenia,
Gdy do teatrum wchodził w swej chlamidzie

Zębionej złotem - i coś na kształt drzenia
Zausznic, kolii, brzmiało: „**Pulcher idzie** -”

Bywało nawet, że senator siwy,
Za Pulchrem widząc rzesze i pochodnie,
Śmiał się i palec podnosił leniwy
W kształt *V*, co znaczy: „**witaj**” - i jest modnie.

Mistrz Artemidor, starych idąc śladem,
Zwał go niekiedy „**małym Alcybiadem**”,
Pomponius zasię, słysząc te wyrazy,
Zwykł był pokłaniać *pedum* kilka razy -
Pedum bynajmniej gminne, z jakiej śliwy
Suchej lub krzywej wycięte oliwy**,
Lecz wyrzeżane z zęba słoniowego,
Złotymi ćwieki misternie upstrzone,
Z napisem *L.P.P.* - wreszcie do tego,
Jak włócznia, laska, tyrs lub styl noszone.

Nigdy sam, zawsze chadzał on ze **swymi**,
Którzy mniej więcej byli mu podobni:
Ten z szat, a owy gesty udanymi,
Ci **swoi** wszakże mniej byli ozdobni
I mniej bogaci, i rodem nie tyle
Świetni, i wziętość mieli mniej motyle
Pomiędzy Cyntie, Lidie i Kamille –

Pierwszy z nich, **Florus**, **Longinem** nazwany,
Za Pomponiusem jak den uwiązany

Chadzał - a głowa jego nad ramieniem
Przywódcy była jakby dopełnieniem,
Którego oko nawykłe szukało,
Bacząc, czy całe jest dwugłowe ciało.

Lucius Pomponius zamierzył od dawna
Ugościć Zofię w **Villa-Pomponiana**,
Lecz nie z powodu, że ta była sławna -
Raczej, że, sławną będąc, była **znana**.
Nie iżby liczył w sposób małogodny,
Iż stąd dwa razy tyle będzie modny,
Do tyła całe nie będąc fałszywym,
By się wyręczał środkiem niewłaściwym -
Lecz że to wszystko mimo woli jego
W powietrzu miejskim znajdowało spadki
Takie - iż, najmniej nie dodając *ego*,
Czyniłeś, raz się w te wpisawszy kratki,
I byłeś takim nie przez swą osobę,
Lecz że nijakim byłeś w taką dobę,
I gdybyś widział, że to drugi czyni,
Tylko byś winił go, że się nie wini.

Już wiele razy na przechadzce dumnej
Przez **Via Appia**, gdzie w chłody wieczorne
Przejeżdżał senat i patrycjat dumny,
Matrony, dziewczki i rzesze pokorne,
Pomponius Lucius, rydwanem czerwonym
Tocząc jak Neron, Zofii szukać lubił,
Nie iżby kochał albo chciał być czczonym,

Lub jak Chrześcijanin wzrokiem ją poślubił,
Lecz że nic k'temu nie ma ani przeczy,
Że to się dzieje tak - z natury rzeczy.

Ta zaś natura rzeczy jest następstwem
Rytmu wypadków nie ujętych niczem
Gwoli celowi - i nie jest przestępstwem
W bezprawnej sferze, z Janusa obliczem -
Bo tam przestępstwa nie ma ani zdrady,
Ani przykładów nie ma - tylko **ślady!** –

Hołdy te Zofii nie były natrętne,
Lecz kto ją widział je odbierającą,
Dostrzegł, że lica jej byłyby smętne,
Stalszymi będąc - tak kwiat gdy potracą
Przechodnie w sposób niezbyt pogardliwy,
Odprostowywać się zwykł harmoniami
Słodkimi trzciny swej, choć niecierpliwej.

Któż bowiem **kochał**, jak to później zwie się,
Jeśli to stałe ma gdziekolwiek imię!
- Któż bo - lub raczej: **któryż?**- kochał w Rzymie,
Co pierwsze dziewczki gwałtem sobie niesie
Z teatrum do dom - lub jak koturn zmienia
Bez obrażenia i bez przeproszenia:
Pomny, że inne czucia są olbrzymie,
A inne karle, i dumą tam sięga,
Gdzie się krew w ducha rozprzęga czy sprzęga.*
Zofia inaczej - ona z Rzymu brała

Moc niemyślenia, że gdzie indziej wzrosła,
Resztę zaś kratą liry zamykała,
I wtedy była - czy straszna? czy wzniosła? -
Nie wiem; tak klatkę lwa, gdy z nim zadrzała,
Wydążasz furty zatrzasnąć podrywem,
A choćbyś sam był lwem, wiesz jedno: „**Żyw-em!**”****

* *Palla* - szata poważna.

** Pedum - taż sama laska, u góry zakrzywiona, której dzisiaj Anglicy konno jeżdżąc używają.

*** Formacje **rodów** kabalistyczne, bez względu na serca, a z widokami jedynie socjalnymi i politycznymi dla utrzymania **ducha-rodu**.

**** „Żyw-em” - skrót: jestem żywy, albo: uszedłem cały!

XV

„Obyczaj - wolny jest od obrażenia
W czasie, gdy wszystkie równe mają prawo -
Mówiła Zofia - ja dziś do jedzenia
Siadam*, a tobie, gdy chcesz, służę ławą
I, jeśli zwyczaj masz, wieńcem bluszczowym.”**
Co Aleksandra syn słysząc: „Gotowy-m -
Odrzekł - czymkolwiek darzy, przyjąć od niej,
Mimo iż bluszcz mi skroni nie ochładza -”
„A róże?”
„Może bez wieńca swobodniej;
Może stosowniej - kwiat albowiem zdradza
Upadkiem -”
„To jest stary przesąd wschodni” -
Odrzekła Zofia, gdy głowy golone

Dwóch niewolników, ku niej pochylone,
Słuchały ciszej rzeczonych rozkazów,
Jak wyciosane kariatydy z głazów.
„Więc przyjmę lauru wieniec lub dębowy.
Pierwszy, ażebym z odkrytą był głową,
Jako ty jesteś - drugi, iżem głowy
Nie oddał treści słów twych piorunowej.”
„Młodzieńcze! - Zofia na to mu odpowie -
Jesteś przyjemnym bardzo biesiadnikiem!
Rzecz coraz rzadsza, tak iż wkrótce, kto wie?
Może nie będziem jadać, albo z nikim.”
„Zaiste, coraz mniej umięją gościć -
Syn Aleksandra prawi, biorąc jadło -
Aż to, co zowią Chrześcijanie: „pościć”,
Znacznie się w biedny lud w Imperium wkradło.

„Znasz więc misteria onych?”
„Podróż moja,
Że filozofię wszelką ma na celu,
Czyni, żem dotknął niejednego zwoja
Pism, i moralnych precept mistrzów wielu -”
„I - ?” - rzekła Zofia z pół-uśmiechem, który
Coś nie-żeńskiego miał.
„I stąd powziąłem
Wiedzę o różnej praktykach natury.
O onych - mówił dalej - co, popiołem
Chleb posypując, zstępują aż na dno
Całości człeka-zbiorowego w czasie,
I tam tykają prawd - tykając, władną.

O onych - mówił jeszcze - którzy zasię
Przenoszą mądrość czerpać z żądy sławy,
I są współczesnych zwierciadłem promieni.
O onych, którzy z natchnienia, jak z lawy
Wulkanu, cacka robią dla zabawy,
Albo są skrzydły orlemi noszeni - -
O onych jeszcze, którzy ważą pyły
Na szalach myśli i są jak mogiły
Etruskie, dzbanów pełni rysowanych,
Brązowych złamków, tudzież **lżawic***** szklanych,
Wyschłych, zielonych po kroplach, co zgniły -”
„I -” - Zofia jeszcze dodała z uśmiechem.
„I - oto twoje, pani, piję zdrowie,
A pijąc, będę przypuszczeń jej echem,
Że jak z ucztami, tak z mądrością; kto wie?
Czy ta się w oczach naszych nie pogrzebie,
Lub każdy mądrym będzie sam dla siebie.”
„Tego mniej dzisiaj niż kiedy bym chciała” -
Odrzekła Zofia tonem bez znaczenia.
„Pani - to wszystko same przypuszczenia,
Które jak płonne są, to pewna mała
Okolicznostka mogłaby okazać.
- I tak: elegiak pewny zapomina
Na przykład notat z tabliczek wymazać
I gubi one -”
„Więc wraz nową wszczyną
Elegię, zgubę oplakując -”
„Przeto,
I mądrość niemniej, gdy się zapomina,

Może jej służyć to za szczeble nowe,
Jak te elegie i tabliczki owe -
Lecz -” - Aleksandra syn głosem odmiennym
Dodał, wpatrując się w Zofii wejrzenie:
„Czy o zdarzeniu jakim bądź codziennym
Mowa? -”*****
Gdy mówił to, zasłony drzenie
I kroków echa zwiastowały gości;
Co bacząc, Zofia obróciła lica,
A **Lucius** z gestem dobrej znajomości
Weszedł, i **Florus**, znany z swej długości.
Pierwszy, zwyczajem rzymskiego szlachcica,
Zimno, acz grzecznie, wstęp uczynił mały,
Ku Pani domu zwrócon i gościowi;
Drugi przyświadczał, jak człowiek mniej dbały,
Do kogo? o czym? mowa, lecz kto mówi.
Obydwa siedli - Pulcher był odziany
W przejrzystą szatę, a Florus w płaszcz tkany
Sposobem zwykłym: te szaty przejrzyste
W Cos wyrabiane są, a rzecz ta droga,
Dlatego że jest lekka jak mgły dżdżyste,
Zazwyczaj zowie się *vitrea-toga*.*****
Jakoż mąż w szacie takiej jest podobny
Do rzeczy w szklaną pochowanej skrzynię
Ogółem-kształtu, bowiem szczegół drobny
Fałdami bywa zamglony, i ginie,
Zwłaszcza iż muchy złote albo gwiazdy
Porozrzucane są po tej tkaninie.
Krótka to była szata, jak do jazdy,

Więc i na rękę płaszcz on miał - niechący
Zwojem o *pedum* zaplątan kościane -
Czerwone ciżmy, w księżyc zamykane
Złoty - literą *C* z dala świecący.*****
Tak strojny usiadł, folgę dając ciału,
Jak duch, co swego dobiegł ideału,
A w palcach *pedum* obracając giętko,
Coś do Florusa poszepnął przez ramię;
Potem na ciżmy pojrzał, strząsnął piętka
I umilkł. - Florus, jak dąb, gdy go złamie
Burza i czołem ku ziemi zawróci,
Rękoma z krzesła ciężył żyłastemi.
„Mieliśmy kwestię z filozofem gościem” -
Zapowie Zofia. - Pulcher przerwał:
„Zgadnę!”
„Mów-”
„O czas, przestrzeń, nudę - miłość -”

„Żadne
Z zadań tych, których wyboru zazdrościm.”
Więc Aleksandra syn rzecze: „Pytanie
Było, azali wkrótce umiejętność
Dawania uczy całkiem nie ustanie
Przez suchość serca, skąpstwo i namiętność -”
Tu Pulcher, jako gdy kto własne zdanie
Usłyszy, znacznie spoważnił oblicze
I rzekł: „Na kwestii takiej rozwiązanie
Więcej, niż mniemać by kto mógł, dziś liczę,
Z dawna albowiem miałem w Pomponianie

Ugościć kilku przyjaciół i panię -
Tak iż, by zamiar ten objawić, właśnie
Przychodzę - „ - mówiąc to, Zofii wejrzenia
Szukał, jak kiedy z drgającego cienia
Wnosisz, że lampa d przedwcześnie zgaśnie,
A jesteś w ciągu twego zatrudnienia.
„Czynem więc ma być kwestia rozwiązana?”
„To jest w naturze mojej” - Pulcher rzecze -
„Tak się rozstrzyga wszystko w Pomponiana.”
Florus rzekł: „Węzły gordyjskie a miecze
Spotykać winny się - to jest logika,
Przed którą bodaj wszech-sylogizm znika,
Co tak dalece w filozofii mojej,
Jako warunek *sine qua non* stoi,
Iż z czasem **portyk******* stworzę k'temu nowy,
Widząc, do ila czcze są szkoły wszystkie,
Kierunek każdej krzywy i niezdrowy:
Tylko - mam jeszcze pierw do zbycia z głowy -”
Tu zamilkł - potem rzekł: „Nową artystkę
Witał Rzym wczoraj na Flory wyścigach.
Diwa Elektra!”
K'czemu Longin doda:
„Gra w cymbał, przy tym na dwóch tańczy bigach.”
„Musi być bardzo młoda?”
„Bardzo młoda” -
Odpowie Pulcher Zofii, a ta znowu:
„Więc, do pańskiego wróciwszy systemu -
By przerwy tymi nie być wstrętą jemu -”
Tu Pulcher przemilkł nieco, gdy gość dawny

Podpowie: „Portyk jeszcze nie jest jawny?”
„Zaiste, dotąd, o tyle, o ile
Swobodne na to pozwoliły chwile,
Mniemam, iż wszystkie próżno nudzą tory,
Jakimi mądrość jest poszukiwana.
Bierzmy z Wielkiego Aleksandra wzory:
Ten, gdy mu była jedna z prawd nie znana,
Tycząca bogów - tak zburczał kapłana,
Że odkrył mu ją na drugi dzień rano” -
To rzekłszy, Pulcher Pomponius dwa razy
Dotknął się palcem najdłuższym wielkiego*****,
Jakby miał chłopca wołać i rozkazy
Dawać - lecz w geście tym było coś złego.
Syn Aleksandra **słuchał przez oblicze**
Zofii - ciemne to może wyrażenie,
Ale jedyne i najmniej zwodnicze.
Zofia słuchała jak przez uprzedzenie,
To jest, przed końcem każdego periodu,
Co ma nastąpić, wiedząc bez zachodu.
Florus, nie widząc, by płynność się rwała
W przemowie Pulchra, czekał z zaufaniem,
Aż piękność treści wysłoni się cała
I nikt już z nowym nie wstanie pytaniem.
Więc tylko szeptał czasem: „Pulcher! chwała!”
- Mistrz Artemidor w ciągu tej perory
Wszedł, cichym ogół skinieniem powitał
I siadł, tabliczek dobył i coś czytał -
Potem rzekł:
„Inna, mniemam, jest **brać wzory**,

A inna: **wzór brać**” - i zamilkł.
Te słowa,
Dwuliciej treści, ogół zaniemiły
I stron przeciwnych uwagę zwróciły,
Jakby tam postać weszła Janusowa.
Co gdy Mistrz spostrzegł, zwracał się ku pani,
Niby rozmowę chcąc przetworzyć dla niej -
Gdy ta nie słowem, lecz gestem zapyta,
Jako sentencja niejasna się czyta? –
I było cicho. - Mistrz rzekł: „Tenże samy,
Za przykład wzięty, Aleksander jadał
Wieczereż leżąc - do obiadu siadał.
My, co na różny sposób dziś jadamy,
Jakoż powiemy? - ja siadłem, gość leży -
Ten i ów sposób do wzoru należy -
I tak: gdzie indziej żydowscy kapłani
Czynią, iż najmniej mąż ów ich nie gani,
Przyjmują nawet hołd od bohatera
Dla rzeczy, którą prawda ich zawiera.*****
Jakkolwiek powieść - powyżej wspomniana
Przez dorodnego mówcę a młodziana -
Prawdą jest - wzór więc siebie sam zaciera?
Nie - Aleksander rozliczne miał doby,
Acz tenże samy w treści swej osoby.
Wzór przeto biorąc, przedmiot się wyklada,
Gdy **wzory** z siebie na przedmiot się składa.
- Wzór jest to ogół przedmiotu, gdy wzory
Są to usterki, przymioty lub pory,
Wzięte tak czasem, iż cel się zaciera,

Bo wzór się **bierze**, gdy wzory **dobiera** -
Jakoż - młodzieniec, w wyrażeniu skory,
Słusznie wniósł: „Bierzmy z Aleksandra wzory!”

To Artemidor gdy rzekł, cisza trwała,
Tylko niekiedy Florus szepnął: „Chwała!”
Syn Aleksandra zrozumiał sól rzeczy
I ile, chwając. Mistrz tym bardziej przeczy,
Gdy Zofia lekkim ku słudze skinieniem
Napełnić czary kazała. - Po chwili
Chłopcy dwaj z lirą weszli i z siedzeniem
Osobnym, które cicho ustawili
I wyszli, krokiem Kamillów***** mierzonym.
Zofia powstała na pół z odniechcieniem,
Na poły z gestem dobrze obmyślonym,
I *amiculę****** z ramion odrzuciła
Idąc - osobne zajęła siedzenie,
A lirę do rąk wzięwszy, coś marzyła,
Na nieumyślne strun patrząc drzenie.

Po chwili czoło wzniosła okazale,
Struny tym silniej drasnawszy iglicą,
I jęła mówić: z początku niedbale,
Jak iskier rzuty - dalej błyskawicą
Te tak ciskane słów iskry wstawały,
Twarz oświecały i nad czołem drżały.

IMPROWIZACJA ZOFII

1

Czy z Olimpu to ? - gdzie są abrysy świata -
Rzeczą harmonijnej kłótni bogów,
Czyjś upuszczony **styl** na ziemię z brzękiem złata,
Śmiertelnych dziwowisko progów? -

2

Nie **styl**, nie - choćby Dedalów dzieło,
Nie narzędzie kruche, pism iglica,
Lecz twój, o Mistrzu, głos i co się zeń przejęło
W myśl - i co krwią błysło na lica.

3

Bo inna **pojąć wzór** i, cało-dźwięków tworu
W poza-jawie słuchając, nad światy,
Samemu kwiatem wzrość, ku prawdzie pierwowzoru,
A inna - wieniec wić - lub rwać kwiaty - -

„**Jak ja** -”

- dodała wieszczka, kładąc lirę,
Głosem, co echa nie miał, lub nieszczerze,
Gdy strun ostatnie dźwięki, coraz letsze,
Strofę tę jeszcze powtarzały w wietrze:
„Bo inna **pojąć wzór** - i cało-dźwięków-tworu
W po-za-jawie słuchając, nad światy,
Samemu kwiatem rość, ku prawdzie pierwowzoru,
A inna - wieniec wić - lub rwać kwiaty - -”

Syn Aleksandra, bardzo zadziwiony,
Patrzył na Zofii postać, niepodobną

Do siebie samej, gdy za nią te tony
Rzuconej liry na ławę osobną
Odrzękiwały jeszcze w cztery strony,
A postać wieszczki z nich rosnąć się zdała,
Jakoby z kręgu fali poruszonej,
I szła ku gościom, blednąc - przy tym drżała,
Lecz nie przez dziewcząt obawę gołębią:
Raczej jak drzewa, gdy wiatry je ziębią,
Jesieni skrzydłem odmiatając w stronę
Liście ich, co już żółte i czerwone.
Drżenie zaś takie, że jest z wysilenia,
By drugim swego udzielić natchnienia
I podnieść masę słuchaczy ku sobie,
Szybko się innym udziela, lecz czyni,
Że podnieść mogła ich, o ile w grobie
Umiała własnym pierw być jak mistrzyni.
Więc spieszenie k'wieszczce nawrócili lica
Goście - na sposób każdemu właściwy:
Pomponius z gestem rzymskiego szlachcica;
Florus jak człowiek, gdy chce pytać: „**Czemu?**” -
Lecz na obecnych pierw pogląda lica;
Syn Aleksandra, wieniec zdjąwszy z czoła,
Powoli liście obrywał zielone,
Gdy Artemidor-mistrz, w pośrodku koła
Stanąwszy, pojrzał w tę i ową stronę,
Na ramię potem rzucił płaszcz koniec
I już miał usta na wpół otworzone,
By mówić, skoro zawołano: „Goniec!”
Był to posłannik Maga - postać chora,

Wchodząca krokiem wstępu i odwrotu,
A włos mająca zlepiony od potu;
Ten ręką z listem do Artemidora
Skinął i pismo oddał - i znikł w sieni -
Gdy Mistrz to czytał zwitek, to szedł w stronę -
A goście byli nieco zadziwieni,
Sięgając myślą w list i za zasłonę.

Po chwili wszakże dawny spokój wrócił -
Z nim przedmiot dawny czuć się dał w rozmowie,
Więc Mistrz, ujawszy prawy płaszcz koniec,
Na ramię lewe układnie zarzucił,
Jak człowiek ufny, że dotrzyma w słowie,
Gdy nagle głośniejsz obwołano: „Goniec!”
- Gońcem tym liktor był z cesarskiej świty,
Dzierżący kartę pisaną czerwono***** ,
Stając, jak dobrze z marmuru wyryty
Mars lub gladiator z zwycięską koroną -
Tak iż pomiędzy goście cisza wiała,
Gdy Artemidor brał list, chyląc czoło -
Florus sam jeden poszepnąć chciał: „Chwała” -
Lecz usta przyciął, patrząc naokoło;
A Aleksandra syn te rzeczy ważył
Jawnie - zaś jawniej o odejściu marzył.

* Tak kobiety greckie jadały, przy łóżkach siedząc.

** **Wieniec bluszczowy** od odurzenia winem - **spadanie kwiatów z wieńca**: oznaka nieszczęścia w miłości - a **wieniec dębowy** nosiły osoby, które pominął piorun, co godność i świętość oznaczało.

*** *Lacrimatoria* - naczynia do łez szklane, w grobach znajdowane.

**** Jest albowiem **elegia** sławna nad zgubą tabliczek z wierszami Cyntii.

***** Na wyspie **Cos** wyrabiano takie *vitreas-togas* - w takiej to komży Neron chadzać lubił - Seneka komży takich używanie kobietom ohydza.

***** Takie *C* znaczyło liczbę **sto** i używało się za klamrę u cizmów arystokratycznych.

***** Portyk oznacza tu publiczny wykład.

***** Takie trzaskanie palcami czyniło się ku zawołaniu niewolnika i zwano je *crepita-re-digitis*

***** Powieść - którą tu przytacza Pulcher o zburzeniu kapłana, aby mu prawdę ciekawą odkrył, wzięta jest z listu Aleksandra do matki jego.

Co do pokłonienia się Aleksandra Wielkiego Bogu Abrahama i Jakuba, to wszyscy historycy świadczą, ale Flavius-Józef najwyborniej to określa: „Jakoż kiedy Aleksander w gniewie wielkim na **Jaddusa**, najwyższego ofiarnika, a przeto księcia żydowskiego, szedł z falangami swymi w marszu na Jeruzalem, objawione było najwyższemu ofiarnikowi, na modlitwie w strachu zostającemu, aby w strojach świątecznych, z pieśnią i kwiatami, wyszedł przeciw przewidzianemu wojownikowi: i wyszli tak kapłani, i Jaddus z nimi wyszedł w ephodzie lazurowym, złotem tkanym, z lamą złotą na czapce swej, a na lamie złotej napisane miał zwyczajem przyjętym Imię Najwyższego. Wyszli tak do Sapha, skąd widać Jeruzalem. Fenicjanie i Chaldejczycy, w falangach Aleksandra pod bronią będący, poszeptowali sobie, iż Aleksander ogniem i mieczem jeruzalemskie zastępy i miasto zniszczy, wszelako wojownik macedoński, spostrzegłszy Arcy-Ofiarnika, pokłonił się k'niemu i objął go potem, i uściskał - a gdy poufny jego, Parmenion, zapytał: „Komu to uwielbiany od świata i pół-bóg hołd oddaje ?” - „Nie jego - odrzekł Aleksander - nie kapłana wielkiego, ale Boga, którego jest urzędnikiem, uwielbiłem. Albowiem kiedy jeszcze byłem w Macedonii i rozmyślałem sobie jakimi sposobami podbić potrafiłbym Azję, w tymże stroju pokazał mi się **On** we śnie i polecał: abym nie obawiał się niczego, abym Hellespont śmiało przeszedł, i że On na czele wojsk moich będzie, czyniąc mię zwycięzcą Persów. Jakoż nigdy odtąd nie spotkawszy nikogo ubranego w szaty one, które pamiętam ze snu mego, wątpić nie mogę, iż wojnę tę wedle widoków Bożych prowadzę, i że tak pogromię Dariusza, zniszczę perskie państwo i że wszystko po dług życzeń moich powiedzie mi się.” Po słowach tych szedł Aleksander w poczcie kapłanów do miasta i do świątyni Pańskiej - i uczynił ofiarę Panu-Bogu wedle tego, jak mu zalecił Arcykapłan, który potem, księgi Daniela Proroka podane sobie otworzywszy, okazał Aleksandrowi: jako prorocstwo **o Książęciu greckim perskie państwo zniszczyć mającym** właśnie na Aleksandrze Macedońskim wykonywa się.”

To podaje najszczegółowiej Flavius-Józef - *Anti[quitates] Judai[cae]*, księga XI, rozdz. VIII.

***** Kamille - chłopcy przy obrzędach religijnych w chóry i procesje ustawiani.

***** *Amicula-barbarica* — krótki płaszczyk z rękawami: jubka-przyjaciółka.

***** Imperatorowie czerwonym atramentem pisywali.

XVI

Noc była - księżyc w przysionek otwarty

Szerokie składał promienie, jak karty

Księgi, z głęboką uwagą czytanej.

Cienie dwa wielkie, ucznia i rabiego,
Z podłogi czołgać zdały się na ściany,
Wśród takiej ciszy, w której i **niczego**
Zląkły się człowiek taką zdjęty ciszą,
Gdy - że już koniec brzmień - myśli się słyszą;
Ta zaś, acz próżna, łamać się zdawała
Sama, na pewne akordy i spadki
Rwąc się - i ducha ruch wywoływała
Na słowo jakiejś sfinksowej zagadki.
W przerwach tych uczeń Mistrza śledził oko,
Poprawiał lampę, lub wzdychał głęboko.
Mag po fenicku mówił do Barchoba,
Który, w podrózne zawity odzienie
U nóg mu siedział i, ramiona oba
Ku piersiom zgięte mając, tkwił wejrzenie
W każdy ruch wargi starca, w oka mgnienie.
„Przejeżdzną kartę i na statek prawo
Wnijścia z cesarskiej woli się otrzyma -
Jedziesz” - tu Barchob błysnął okiem łzawo,
Co Mag zoczywszy dodał: „**Tego** nie ma
Z postacią?” - „Nie ma!” - Barchob mu odpowie,
Stwierdzając krymkę podrózną na głowie,
A potem lampy światełko czerwone
Krzepił strącaniem popiołu na stronę -
Więc Mag znów rytmem, jaki się używa,
By czas przeczekać natrętny długością,
Mówił:
„Ten i ów rodzi się - a bywa:
Ci duchem - tamci zblizeni są kością,

A tamci głosu dźwiękiem - a ci mieniem,
A owi jeszcze głębszą wzajemnością
Bytów i onych spowinowaceniem.
- Zastępy z tego ciągle sprawowane
Że urastają w to, co Grek nazywa
Dramą, prawdziwe rzeczy to i znane.
Lecz jest szczęśliwa rzecz - jest nieszczęśliwa!”
Tu westchnął - palcem poruszył siwiznę,
Tak ciągnąc dalej:
„Drama też, a drama -
Grek, a Rzymianin, a Żyd - nie też sama -
Zobaczysz jeszcze - będziesz miał ojczyznę
W dłoni - **ja, może, skończyłem nad tobą -”**
Tu Barchob czoło skłonił.
„Mnie zostanie,
Jak z wizerunkiem twym, zostać **z osobą,**
Której odbyło się w przyszłość skonanie -
Gdy ty siedm skrzydeł uniesiesz ode mnie,
Bo może jesteś ów - może - to chyba
Sprawdzi mąż, który wszystkie odgadł ciemnie,
I - żem nie zmylił się, powie Akiba.*
Wtedy -”
Tu porwał Barchoba za ramię,
Ale mu w czoło wzierał tak głęboko,
Jakby pisane tam dopatrzył znamię.
I spotkał się mistrz z uczniem oko w oko,
Milcząc - - - - -
Gdy nagle po płaskich kamieniach
Podwórza szybkie zabrzmiało stąpanie,

Rosnąc, a dalej i w przysionku cieniach
Mąż się pojawił nie nadspodziewanie.
Był to bynajmniej posłannik ów z miasta,
Lecz - o dziw! - był to Barchob - Barchob drugi,
Tak samo wiotki, ni mąż, ni niewiasta,
Młodzian, a z czołem pooranym w smugi!
Też same oczy różowo-płomienne,
Znużone z wierzchu i niby pół-senne
Wewnątrz, orlemu podobne wzrokowi.
- Taż sama młodość, sztucznie starta wiekiem
Skłamanym - - obraz takowy widzowi
Zdawał się dwoić tym samym człowiekiem
Tak - iż domowy Barchob uczuł drżenie,
Gdy postrzegł gościa tego, czy widzenie.
Jazon zaś - zimno patrzył nań z tą siłą,
Z którą ogląda rzeźbiarz dzieło swoje,
Taż samą formą odlewane w dwoje:
Co ? gdzie ? udało się, lub odmieniło.
Uczniowi potem wskazawszy przybysza:
„Oto - rzekł - ten jest, **który cię ucisza**
I jako płaszczem od ludzi zasłania.
- Za trzy wigilie masz się ku Judei -
On tu czasowe podejrzenia zgania -”
To rzekł - tablicę wyjął z *M.B.C.I.*
Kościaną, w głoski te bitą złocone,
Na piersi ucznia zawieszając onę.**
Wszystko to szeptał Mag fenicką mową,
Gest równy mając i twarz jednakową,
Tak iż z daleka przybysz zatrzymany

Barchoba nawet nie widział profilu,
Ile że twarzą zwrócić był do ściany;
Przybysz w oddali, jako innych tyłu,
Czekał, znak k'temu odebrawszy niemy,
Że gdy ten wyjdzie, sami pomówiemy -
Mag uczył dalej:
„Lista tych, z którymi
Kiedykolwiek mówiłeś, zostanie -
Toć i on Barchob! spotkawszy się z nimi,
Przez stopniowane toż samo podanie
Utrzyma w ciągu, a zerwie, to zerwie:
Tyś może **zorzy-synem*****. - Koniec z tobą;
Nie mojej odtąd, jak mówią, Minerwie
Słuchasz - z twą drugą zostać mi osobą;
Coć powie wielki **Akiba** na górze,
To i ja wyznam, usłucham, powtórzę -
Jam cię nauczył tylko abecadła
I wiesz, jak która wzrosła treść lub padła.”
Tu - już po rzymsku - mówić począł głośniejsz:
„Rzym śni - jak wielki mąż - śni - i dośni
Potężny geniusz! –
Romulus, na wszczęciu
Praw, rzuca zaraz ojczyście puklerze****
I już wybiera jak mąż, acz w dziecięciu;
Argijskie woli tarcze i te bierze,
Które też szersze są ku zasłonięciu.
Łuczniczki rzymskie zazwyczaj są z Krety,
Okrety - z Rodu, do pchnięcia sztylety
Na miecze Galów praktycznie się mieni;

Z Etrurii teatr, z Grecji bogów lica -
Bogów - których się ratuje z płomieni,
By nie zginęła sztuka - ta - dziewica!*****
- Tu Mag, splunawszy głośno, dalej rzecze:
„No - filozofia także, także nieco
Kwitnie! - Greccy to stoicy jej świecą,
Ku piersiom uczniów zawracając miecze.*****
Prawo? - przypomnij, proszę, samo prawo:
To nie w dziesięciu wierszykach spisane
Krótkich, że mógłbyś ręką je wziąć prawą
I w torbę schować lub przybić na ścianę.*****
To ksiąg folianty, to biblijoteki
Takie, że gdyby barbarzyniec który
Tybrowi oddał je licznymi wory,
Skapałby miasto przez sam wylew rzeki!
Zaiste szczęśny, komu się udało
Widzieć wszechświata i państwa stolicę -
Lecz- **gdzież jesteście?** - -”
Domówił to z siłą
I wielką rzucił okiem błyskawicę,
Wstając, a potem z powszednim spokojem
Rzekł: „Oto jeszcze chwilę razem stojem” -
I rękę kładąc uczniowi na czoło,
Które do kolan biegło jakby waga;
„Idźże” - domówił i, patrząc wokoło
Ze zwykłą ciszą, ze zwykłą powagą,
Wyszedł - przez ramię dorzucając słowo:
„Posłańca spotkasz z kartą przejazdową -
Twoje zaś, gościu, jutro się rozpocznie,

Zowiesz się Barchob- **wiem - niech Barchob spocznie.**”

Ten rażno wyszedł, owy, toż do siebie
Wziąwszy, z podróżnym wychodził łomokiem.
A po północy było już na niebie,
Przez księżyc obłok sunął za obłokiem.
Coraz to wietrzniej i mniej uroczyście,
Mdlawo i piersiom duszno jak na burzę -
Ze ścieżek suche podfrwały liście,
Lub szeleściły, kładąc się przy murze.
Wiatr, bez kierunku, tu, tam nagle rwący,
Suchymi w parów pryskał gałęziami,
I znowu ciszy moment, acz niknący,
Wracał, i znowu wiatr miótł obłokami,
Wierzchami sosen obracał leniwo,
Księżyc promień chmurą łamał krzywą -
Widnokrag cały zaciemniał się nieraz,
Błyskawicami migocąc od spodu,
Tak że wciąż myśleć mógłbyś: „Oto teraz
Uderzy piorun.”

Barchob nasz z ogrodu
Wyszedł, do miasta kwapiąc się ulicą.
Co czuł? - wysłowić tego niepodobna:
Ogromna przyszłość, rzeczywistość drobna -
Żar - bo nie **zapal** - żaglem, trud - kotwicą;
Powrót po latach trzech nauk Jazona,
Judei w dali miasteczka błękitne,
I mrok - i znowu otchłań rozwidniona.
Myśli, niepewne kształtem, treścią szczytne -

Rzym pod nogami, ile razy jeszcze
Magowe słowa o nim pomnił wieszcz,
Co całą państwa sił architekturę
Porozsnuwały mu w myśli, jak górę
W teatrom z płótna rozsuniesz klejoną,
Szczyt jedną wiodąc, a spód drugą stroną.
To zwłaszcza śmiech mu do warg przyzywało,
Jak zakazany owoc - albo w mocy
Stawiło takiej, że miotałby skałą -
Gdy - nagle strażnik, bram strzegący w nocy,
Krzyknąwszy właśnie, przeraził go nieco.

Tak to nie wszędzie równie gwiazdy świecą! -

* Akiba - współczesny wielki mędrzec i rabbi żydowski.

** Insignia zastępu Machabeuszów - tablica z kości słoniowej z napisem złotym *M.B.C.I.*,
który to napis wulgarnie oznacza Machabei, a kabalistycznie wyklada się: „**któż jako Pan
Bóg Izraelski!**”

*** **Zorzy synem - Bareochebas** wykładano kabalistycznie: **gwiazdy syn.**

**** Romulus w pierwszej zaraz bitwie porzuca puklerz mały własny, na szeroki go argijski
zamieniając itp.

***** Sztuka - patrz w następnej pieśni.

***** Stoicyzm - doktryna kończenia samobójstwem.

***** Do Mojżeszowego prawa zastosowanie.

XVII

Na plac z rozbiegu ulic wydarzony
Szerokie wrota pracowni rzeźbiarza
Otworzył człowiek pyłem ubielony -

I jak gdy słońca kto obieg uważa
Wigilie licząc, od wschodu do zmierzchu
Baczył - a potem włosów wstrząs! kędziory,
Po sobie pojrzał i z rękawów wierzchu
Owiał pył - - ziewnął - wraz wyjrzał i wtóry,
Nie mniej w tuniki fałdach ubielony,
Jakby, z posągi gdy bywał, wziął na się
Obyczaj boski Olimpijskiej strony,
Tracąc go w miarę, jak schodzi żyć w czasie -
Za nimi dwoma z cieniu wyzierały
Antinousa biusty marmurowe,
Smutne - jak gdyby płakać wiele miały,
Lecz, nie skończony mając wzrok i głowę,
Zapominały albo nie umiały -
Gdy żywi taką toczyli rozmowę:
„Dijoskifilos biustów robi dwieście
Antinousa - dwadzieścia Cesarza -
Co będzie potem? - rozesał po mieście
Ludzi: z tych każdy chodzi a uważa,
Gdzie brak? - i zaraz z posągiem tam idą,
Lub, że przyjsć mają, zapisują kredą.”

„Fidias - czy robił tak?” - ozwał się z cieniu
Głos, jakbyś dłutem śliznął po kamieniu
Greckim, kryształ w swej mającym mące,
Podobne soli, stal odbijające.

Co rzekłszy, wyjrzał: był to człowiek blady,
Ale bez-barwą czerstwą i przytomną.

„Nie mam w Fidiasa dziś wstępować ślady” -

Najstarszy odrzekł z wykwintnością skromną.

„Choćby dlatego - młodszy wraz dopowie -

Że Fidias bóg był, gdy my - nie bogowie!”

„Sens tego słowa **bóg** - to jego nuta,

Pokąd **o bogach** mowa - lecz co pewna,

To to, że Fidias-bóg używał dłuta,

Tudzież marmuru, złota, kości, drewna -

Dalej - że pono za cel nie brał owej

Natury - albo z drugiej ją połowy

Zachodził, która że jest idealna,

Więc nieskończona i niewyczerpalna -

I stąd mógł robić wieki - do dziś może!”

„Komu?”

„Tym, którzy byliby innemi!”

Tu dał się słyszeć szmer i gwar na dworze,

Lektykę bowiem stawiano na ziemi,

Ciężką, z wonnego budowaną drzewa,

Pstrą miedzianymi gwiazdy i gwoździami,

A jako ptaszę z gniazda, nim zaśpiewa,

Wychyli głowę, z takimi ruchami

Elektry-diwy wyrastały lica;

Zaczym Pomponius rękę poniósł prawą

Ku niej - pierścieniem rzymskiego szlachcica

Świetną - i Florus ze swą, niby z ławą

Szeroką, skoczył: lecz Elektra zgadła

Obu i, niżli spostrzegli, wysiadła.

„Sto biustów warta!”* - Lucius rzekł, a owi,

Którzy lektykę nieśli, zawołali,

Pot ocierając** : „Niechaj żyją zdrowi!-

Sto biustów warci!” - Rzeźbiarze witali
Gości, lecz rozruch w pracowni był taki,
Iż mało baczył kto, gdzie posąg jaki.
Ciskane tylko słychać było słowa:
„Zeus! - Antinous! - oto Zofii głowa! -
Pies-Alcybiada! - Venus krótko-szatna! -
Natchnienie! - znawstwo! - amator! - spektator •
Ten, ów, filozof - sztuka niepopłatna -
Bez-plamny marmur - *divus Imperator!*” –

* W miarę zasługi nagradzano liczbą posągów przez senat wotowaną.

** Krzykacze publiczni obwoływali często wdzięki kobiet tego rodzaju u wnijscia do teatru.

XVIII

Puste mieszkanie z Epiru młodziana
Otworem stało jak wszystkie gospody;
Wytartym **freskiem*** każda z czterech ściana
Przedstawowała, jako Bachus młody
Z nimfami sprawia winobrania gody.
- Obrazy one, w czterech medalionach,
Odpowiadały sobie jak zwierciadło,
Też same poznać dając po ramionach
Osoby, których indziej twarz odgadło, r
Arabeskami medaliony one
Były, jak roślin zwojem, oplecione,
Mającym w liściach swych i inne twory,
Poprzewijane owadem w gadzinę,
Gadziną w zwierzę, a zwierzem w upiory

Fantazji - w sposób: iż zaledwo trzcinę
Postrzegłeś, ta się wyślizła ci węzem,
Wąż w ptaka plwał się, wyrzucając ślinę,
Tej skrzydła w szatę nikłą - szata mężem
Brzmieje - mąż na hełm wytryska liśćmi,
Których kwiat tarczą, a pręty orężem,
A pąki - iskier tlejących gwiazdami.

- Przy łożu, skórą lamparta okrytym,
Z rękopismami stała cicha urna,
Na której jawił się mąż być wrytym,
Gdy lampa wyżej świeciła poczwórna.
Tę na świeczniku prostym a wysokim
Stawiała właśnie gospody służebna,
A był czas, kiedy słońce, bez-obłokiem
Nagie, dotyka jak rzecz niepotrzebna
I, między zasłon rozdarcia lub szpary
Do domów wpadłszy, ozłaca filary.
Lampę oczyścić, poprawić posłanie
I kurz gdzieniegdzie otrząść, przynieść wody -
To całe służby wewnętrznej staranie
W progach stojącej otworem gospody.
Jakoż krzątała się tak dziewczka owa,
Gdy weszedł człowiek, kosz mający w ręku;
Blady był, cera ta jednakże zdrowa
Nie ujmowała powagi i wdzięku
Profilom, linią szorstką rysowanym,
Twarzy i ramion, i nagich goleni;
Ten, kosz stawiając, rzekł: „Został przysłany.”

„Od kogo ?” - zamilkł i uszedł do sieni,
Co widząc, dziewczka rzekła: „Mów! bo wydam,
Że jesteś niemy zalotów służący.”**
- Na co, odchodząc, człek ów, jak niechcący,
Z uśmiechu bladym przebłyskiem rzekł: „*Quidam*”
Dziewka, przed koszem stanawszy na chwilę,
Poczęła kwiatów dziwić się ozdobie,
Co jako senne dyszały motyle
Na strunach prętów: tak pieśni są w grobie
Poetów, w struny lir pozaklinane,
Kwitnąc, acz ciche i niezrozumiane.
- Czy to myśliła ta sabińska prosta
Góralka? - Nie wiem. - Lud jest zawsze może
Na równi z **wiedzą**, chociaż jej nie sprosta
Wypowiedzeniem, ni pojąc jej może,
Lecz drgnieniem serca jednym wie, co ludzie
W umiejętności otrzymują trudzie.
« Ci jednak innym oddawać to mogą,
Jakoby w rękach mając swe zdobycze,
Gdy lud iść tylko, wydeptując drogą
Ślad - powolniejsze kroki - mniej zwodnicze
I mniej zwycięskie - ciche jako strumień,
Płynący równo po zieleni sumień -
Wyszła - - przy łożu leżał zwój pisany
W następujący sposób :

JEDEN ZE ZWITKÓW

§1

Samotność znowu - każdy mi już znany -

§2

Mniejsza, co ona w pamiętniku moim
Wyczytać mogła - czytam to z niej samej -
Może na drodze równie błędnej stoim
Oboje - wszakże ja choć szukam bramy,
A skoro myślę się, myślę trudami.

§3

Jeśli świat cały, z **starców, mężów, dzieci**
I niewiast złożon, za typy nam daje
Maga, Luciusa, Zofię - zwłaszcza trzeci! -
Jeśli obyczaj - - - - -
Są pomnożeniem typów w zbiorowiska,
To jakiejż ceny wart on i nazwiska?

§4

O Magu - że jest milczący, wiem pewno;
Artemidora - znam, lecz subtelności,
Pomponius - jest to wytoczone drewno
Do osadzenia włóczni lub gry w kości;
Zofia? - bez liry w ręku - - - -

§5

Z lirą w ręku -
Nie ona! - z kimże żyję? jeśli żyję?

§6

Eureka! - wiem już, czemu trzeba jęku
I krwi - i widzieć, jak z lwem się kto bije,

Albo na ostrze piersią paść otwartą ? -

By nie zapomnieć, żeś **żyw**.

§7

----- Tyle warto

To wszystko.

Dalej wiersze przekreślone.

Kwiatów woń izbę napełniła całą -

Słońce plamami w tę i ową stronę

Na ściany biło, nimfom w modre oczy,

Do złotych promień niosło im warkoczy

Lub malowane, nieme usta grzało.

- Cisza nadobna - cisza, która **kłamie**,

Że można spocząć na świecie bez winy -

Która **upewnia**, że Bóg jest, co trzciny

Złamanej, mimo idąc, nie dołamię.

Mistrz, Pan i Sędzia - .znający człowieka,

Nim był - litosne tak mający ramię,

Że - równie wiecznie i sądzi, i czeka! -

Nieme - bezkształtnie widne - tym podobne

Uczucia nieraz młodzieniec z Epiru

Czuł i na miejsca uchodził osobne,

Szukając **prawdy**, i ciała jej - **miru**;

Będąc - jak dzisiaj nikt być już nie może! -

Nie chrześcijanin bowiem, nie poganin:

Przez filozofii wpływ wąpiący może

O samej bajce olimpijskich tkanin;

Tym mniej - osoby wyznający boże.

W **śmierć wierząc** - jako w szczelnie zwarte wrota,

W miłości napój wiosenny i w wiedzę

Matematyczną - i w dźwięk słowa: **cnota**.

Blisko znaczący wyrazowi: **zdrowie**

I wyrazowi: **sila** - rzecz podobna

Do zaklęć, których jasno nikt nie powie,

A która wszakże jest, i jest osobna.

Błyskami także zórz nieznaney doby

Widywał czasem kraje wyobraźni:

Gdzieś ponad groby, czy gdzieś poza groby -

I czuł pogodę jakoby przyjaźni

W wiosennych wiatrach nieznanego kraju -

I rytm, muzykę jakąś - obyczaj!u!

To, co i Plato, w ciche kiedyś niebo

Przez liście laurów patrząc, czuł potrzebą

I **słyszał** - pojąć zdołał- **dać** nie umiał,

Wysławić nieraz mniej, niż sam się zdumiał!

* Można to jeszcze w Pompei widzieć, o ile najuboższe nawet mieszkania ozdobione były zawsze malowanymi wzorowo legendami z mitologii poetów.

** Kwiaty posyłano na znak współczucia.

XIX

Niejasna w mieście krążyła wiadomość

O niepokojach w prowincji, czy wojnie,

Czy że wyjechać ma Cesarz-Jegomość

W nocy - wyjechać, jak można, spokojnie,

By tłum przywyknął czuć go i z daleka

Lub czcić w postaci zwykłego człowieka.

Inni twierdzili, że wieść ta źle głosi,

Na zwykle bowiem łowy się zanosì,

Przeto, iż dawno cesarska prawica
Oszczepem w puszczy nie raczyła śledzić,
Gdzie lega niedźwiedź lub gdzie zlega lwica:
W czym nierad Adrian dawał się uprzedzić.
Inni nareszcie tę powietrza zmianę
W zamku, i co zeń wywiało za ścianę,
Przypisywali wschodnim pewnym gościom,
Lub z okrętami przysłym wiadomościom.
- Wieść każda w Rzymie, niż gdziekolwiek więcej,
Ma różnokształtnych ust swych sto tysięcy,
Które brukową najprzód tętnią wargą,
W jaśniejsze potem urastając głosy,
Oklaskiem dalej stają się, lub skargą,
Myślami Cara, i zowią się: **Losy**.
Acz bywa, że nim tę przebiegną game,
Nie poznawają się i mszczą same.
Cesarz, jak zwykle, w bukszpanowym chłodzie,
Z odkrytą głową, spoczywał w ogrodzie.
Obyczaj, który, w dniu najmniej pogodne
Chował, nie znosząc nic na nagim czole -
Skąd poruszenie głowy miał swobodne:
Nie takie wzroku, iż szukał kryć wolę,
Drażliwość w spokój mędrca przyoblekać,
Także, iż lubił zgłębiać i nie czekać -
Dwie żądze, które zgodzić z sobą trudno.
Było to wszakże, gdy wszech-wiedzę państwa
Zdobył - część jego ludną i nieludną,
Używającą prawa i poddaństwa,
Naocznie zwiedził, w wielkich dwóch podróżach

Wolę i ludzi poznał wewnątrz żywych,
A o okopach myśląc i przedmurzach,
Świat tworzył, linii nienawidząc krzywych,
Przeto iż dłuższe, a ceniąc je bardzo,
Jako ucześnie i słodsze w swych ruchach.
Więc był jak którzy chwalą to, czym gardzą.
- Przy tym - nadeszła i wieść o rozruchach -
Te Adrian ważył mało.
Na marmurze
Stołu przed ławą, gdzie Cesarz spoczywał,
Leżały zwitki, tabliczki i róże
Białe, a widno, że idąc je zrywał
I w palcach miesił, co może czas skraca -
Stał także kubek sycjońskiej roboty
Z **tetrafarmaku*** resztką, złota taca
Niżej - miednica i nalewek złoty.
Sam był do kolan obrzucon opończę,
Której brzeg strzępy z nici złotych kończą;
Gdy Artemidor za znakiem mu danym
Siadał na stołku kością wykładanym
I zdał się słuchać, lecz uważał szczerze.
Cesarz tak mówił: „Jako w **Antimaku**
Z **Kolofon**** więcej czytam niż w Homerze,
Dziejów zaś szukam od pierwszego znaku
Historii - nie zaś od Salustyjusza;
Tak lubię z gruntu każdy przedmiot badać,
Nie lada połysk brać do animusza.
Wiedzieć albowiem na to, aby władać,
Inna jest, niżli dla wulgarnej sławy -

Skąd samej nawet astrologii męty
Nie są nam obce - ani jakie wstręty
Płaskie mieliśmy dotknąć się tej sprawy.”
Tu przemilkł - rękę wyciągnął ku tacy,
Bawiąc się jadłem, jak to czynią ptacy
W klatkach, mający smaki pogardliwe
Dla zbytku strawy - lub syci próżniacy.
- Że jednak skromny był więcej w jedzeniu
Niż w duchu, rękę powrócił leniwo
I mówił dalej:
„Ten - chodzący w cieniu,
Z laską, nieledwie długą tak jak krzywą,
Charonowego posługacz okrętu*** -
Jak się ma?”
„**Jazon** - wyrzekł nie bez wstrętu
Koryntczyk - wczoraj wiedzieć dał mi nocą,
Iż niespodzianą złożon jest niemocą -”
Tu przeszła chwila milczenia - aż znowu
Cesarz pół sobie, pół do gościa rzecze:
„Hellada! - wy ją znacie, tak, z narowu,
Jam odgadł - ja ją podnoszę i lecę.”
- Mistrz Artemidor pobladł. - „Jeśli komu,
Literaturę poznać dawszy, skryją
Ziarna jej - gości jak przyjaciel w domu
I je - wie, jaką rzecz, lecz nie wie, czyją,
Grecja-bo nie jest kilka świątyń, ani
Pieśń jej” - Koryntczyk, jak góral z otchłani
Znanej mu, ale bardzo niebezpiecznej,
Wychyleń, wzrok niósł wkoło niestateczny.

„Grecji ja uczę ludy: od Eufratu
Aż do Brytańskiej wyspy - ja to starą
Helladę dzisiaj pokazuję światu!” –
„**Przez nią jest światło**” - Koryntczyk rzeki z wiarą.

„Egipt? - tym samym Adryjan akcentem
Ciągnął - przykryta rzecz czasowym mętem:
Egipt jest wcale nie to! - w księgach Judy,
Gdzie różne baśnie są - także i cudy,
O Abrahamie mówią, iż ten syna
Miał ofiarować. - **Są, co byli dalej
W ofiarowaniu-**”

Tu mu poszła ślina
Do ust i kaszlnął, mówiąc: „Cóż? - **azali
Antinousa krwi nie poświęcono?**”*****
Tu wstał - i znowu legł, lecz inną stroną,
I znów obrócił ciałem: „By znać rzeczy
Ludów, trza każdy mieć jak swój na pieczy.”
Więc Artemidor na to: „Mało komu
Dano jest mieszkać wśród wielkiego domu,
Nie zostawując próżni.”

„Są **studia** ciekawe,
W których powołam was, filozofowie,
By kilka kwestii wytoczyć na ławę -
Tylko mi jeszcze wstrętnym bywa zdrowie
Wątpliwe” - przy tym dodał od niechcenia:
„A lubię rzeczy wywodzić z korzenia -
A te mi Żydy bredzą swe marzenia -
A nie tą drogą iść ma - jest u Żyda

To, że niesforny umysł ma i krzywy,
I nieporządny - nie zna inżynierii,
Ni planów - jakoż do prac jest leniwy.
Zwierz dziki, gdy go zamkniesz w menażerii
I jeść mu dawasz dobrze - z wolna - z wolna
Truchleje - jednak drga w nim chuć swywojna.

Mniemam - że i ta Chrześcijańską doktrynę
Nie jest w swej pierwszej legendzie. - Może by
I tego dotknąć przyszła już godzina,
Bacząc, gdzie błędu wina, gdzie potrzeby -
W Jeruzalemie miejsce zmartwychwstania

Jupiterowi należy właściwie:

Ten jest albowiem, który się nie kłania,
Mocny-bóg - dalej, i to bez-treściwie,
O wykonaniu Chrystusa co bają,
Tam **Venus** miejsce mieć ma - a powoli
Uobyczają się i przyzwyczajają***** -
Nim tnę, uważać zwykłem, ile boli
I pokąd ? - bystrzy tak lekarze krają -
Cóż? - czy nie Kocham Hellady?"

Te słowa

Lubo donośniej rzekł, głos mu nie służył,
I sam to może poczuł, że nadużył
Głosu - więc sięgnął, gdzie go boli głowa,
Przymrużył powiek i powstał leniwo,
W czym Artemidor zdążył mu co żywo,
I poszli długim ciennikiem z bukszpanu,
Coraz to ciche zatrzymując kroki - -

O myśli ludzka! - ty, co przeczysz **Panu**,
Świadczyć Mu musisz przez błąd swój głęboki!
A ty, coś prawdę poprawiał lub winił,
Gdybyś na skryte jej popatrzył cele,
Spytałbyś siebie, sfrasowany wiele,
„Ja, com pracował tak - cóżem uczynił? -”
Czekaj - z Wenerą twoją w Betlejemie,
Aż Wól i Łukasz, i te Rafaele
Przyjdą - położyć się czołem na ziemię,
Wdzięki waszego **zniósłszy** ideału
Nie ukazami - lecz twórczo, pomału –
Tak - żeby Fidias przed **Familią-Świątą**
Rafaelowską stanął*****, a **Jupiter**
Świętego Pawła głowę baczył ściętą,
Spokojną; **Merkur** - druk składany z liter;
Neptun - Kolumba, co w krzyżowym znaku
Kotwicę znalazł na morza nieznane,
Na Ewangelią burze pokiełznane*****;
Pallas - Joannę d’Arc żeby w szyszaku
Jej zobaczyła z mieczem na rumaku;
Herkules- żeby pary-wynalazcę
Ujrzał, **Eskulap**, z wężem swym na lasce -
Mojżeszowego węża zoczył z miedzi -
Wszystkie by siły wasze, najporządniej,
Do mimowolnej doszedłszy spowiedzi,
Znikły - pozostał **rząd** - i pył nierządny -

* *Tetrpharmacum* - rodzaj pasztetu, potrawa ulubiona Adriana.

** Adrian porządkować chciał na swój wyłączny sposób i uznane sławy starożytne: Antimacha z Kolofon nad Homera, nad Salustiusza zaś przenosząc Coeliusa Antipatra itp.

*** Patrz w XI pieśni wiersz: „**I Charonowym nazywał go sługą.**”

**** Nie jest historyczną pewnością ani podaniem, aby Adrian w pojęciu ofiary Antinousa - najdroższej sobie istoty - porównywał się z Abrahamem, ale jest znane i widoczne, do ila ten rozruszany na szerokość całego Państwa Rzymskiego umyśl we wszechgąłęziach wiedzy i życia o przodkowanie się dobijał, w każdym elemencie składowym społeczeństwa i w każdej prowincji ducha jej starając się wedle mniemanej wyższości swej dociągnąć i sprostować. Otóż immolacja Antinousa zaraz po podróżach w Syrii i Palestynie na wstępie do Egiptu miejsce miała. - Psychicznie jednakże tragedia ta zupełnie inaczej się tłumaczy. - **Adrian** nadużył zachwycenia zmysłowego dla osobistości **Antinousa** do tego aż kresu, który w licencji onej był już ostatecznie - odwrócić się więc mogło tak wysilone i przesilone uczucie w ironię uczuć, w melancholię; a ta, jako religijny skrupuł, sama się w umyśle jego subtelnym upoetyzowała. Nieledwie zawsze **adoracja dla człowieka** przemienia się w przeciwne jej usposobienie - tak dalece nie względem człowieka uczucie to normalnym jest!

***** Stało się z czasem, iż na miejscu świątyni Jeruzalemskiej stanęła Jowiszowi Kapitołińskiemu poświęcona statua **Jowisza** - na miejscu, gdzie Zmartwychwstanie Pańskie miejsce miało; **Wenery** posąg, gdzie Chrystus Pan skonał. Do ila to doktryną jaką systematyczną przemysłone było, nie wiem pewno - ale z całego toku i tonu spraw Adriana widać już w tym jedno z tych śmiertelnych a potężnych doktrynerstw, które tyle razy potem pod różnymi postaciami, na różnych polach życia i wiedzy, przeciw duchowi ubogiemu Chrześcijaństwa pojawiają się. Jest w tym symboliczne jednak, acz mimowolne świadectwo, iż sprawa Pańska, wszystkie ideały najwyższe przenanajwyższywszy, przez to samo niejako objęła je.

***** U sztukmistrzów greckich - kontemplacja formalna do najwyższego, niezapreczenic, stopnia doszła. - Rafael wszakże i inni naczelnicy artyści chrześcijańscy nie tylko wyrównali onym formalnym ideałom, ale nawet najlegalniej je przewyższyli. Sztuka starożytna nigdy się nie podniosła do ideału **Familii-Świętej**, gdzie w warunkach najuboższych przedstawieni: **Dziecię-Bóg, Dziewica-Matka, Starzec-Anioł**. Lubo nie poniża się przeto, ani zatracza tego, co na polu formalnym starożytni pracownicy zdobyli, i miło jest zaiste wspomnieć, że na grobie Beato-Angelico da Fiesole, najwięcej chrześcijańskiego malarza, jakiego znamy, słusznie położone jest: „*Non mihi sit laudi, quod eram velut alter Apelles, sed quod lucra tuis omnia, Christe, dabam*” etc.

***** Wiadomo, iż Krzysztof Kolumb, kiedy trąba morska podniosła się i szła prosto na okręt jego, a przerażenie było takie, iż załoga na śmierć się gotowała, kazał sobie podać Ewangelię Ś-go Jana, a wyszedłszy naprzeciw strasznego fenomenu, czytaniem na głos Pisma Świętego morze uspokoił.

XX

W czas, gdy firmament ciemnosafirowy
Wielością jasnych gwiazd oczy zawraca,
A cały urok nocy południowej
Łagodzi zmysły - iż pamięć ukraca,
W obecność jakąś przenosząc nieznaną

Myśl, wrażeniami za dnia pomiatana,
Lub daje wiary chwilę, przez znużenie,
Nawet zbrodniarzom, w kajdanach wilgotnych,
Że - jeśli nie kres - rytm ma ich cierpienie,
Samotność że ma swoich współ-samotnych.
W czas periodycznej ciszy, której mowa
Utula trzeźwych, niepocziwych zwodzi,
Zastaje w domu, albo nie znachodzi,
Na drzwiach im rosą pisząc zimne słowa,
I dłoń, przed świtem klamki szukającą,
Omywa czasem z krwi - lub krzepi drżącą.
W czas tajemniczej bladości księżycy
Syn Aleksandra wrócił do gospody -
Jak światło, co mu olśniło jagody,
Takie wejrzenie tęskne miał - i lica
Pełne takiego bezmiaru pogody,
Co, przez głębokość swą, że jest wątpliwy,
Mniemasz - lub śmiało zwątpiłbyś, czy żywy? -
Zwątpienia czczość mu serce rozłożyła,
I ciężar siebie poczuł, nieprzytomny
Po świecie idąc, co, choć ślepa bryła
I bez-zmysłowa, i taki ogromny,
Nie traci przecież ciężkości swej środka:
Równo się toczy, choć kometę spotka.
A on - na onym ogromie malutki -
Chromiał, że mdłe go wy drożyły smutki!
Więc niby mówiąc: „**Czczo mi**” - do gospody
Wszedł - - Woniejące wraz mu na twarz chłody -
Jakoby chustę pot ocierającą

Rzucając - dziwnie bardzo otrzeźwiły -
I mimowolnie wspomniał **twarz cierpiącą**
Gwida - gdy tak go odchodziły siły
Przed twardym sądem ludzi bez sumienia;
Lecz te, uboczne, pierzchły wraz wspomnienia -
Ciekawszym było, skąd kwiaty? dla kogo? -
Lub jaką weszły do mieszkania drogą?
Ciekawość wszakże skoro już zgadywa,
Przestaje sobą być i, chociaż nie wie,
Że zgadła, wszakże myśleń ciąg urywa,
Lub, dalej idąc, siebie nadużywa -
I taki czyni zamęt, jaki w śpiewie
Przez rytmu zbytek, przez nadmiar periodu,
Czyni się - pisząc spiesznie, lub za młodu.
Chwilę więc myśląc: „od kogo są kwiaty?” -
Już miał zapomnieć syn Aleksandrowy,
Od kogo ulga przez ich aromaty
Do ociernionej ludziom wnika głowy;
Tak - rzeczywistość niewdzięczna jest treści,
Lubo z niej żyje przez to, że ją mieści –
To zaś - dopóki człek wywikłać może,
Niepodobieństwo, by szczerze narzekał;
Chyba już takiej niewoli doczekał,
Iż chwili nie ma - by pomyśleć: „Boże!” -
I zastanowić się: gdzie prawda szczerza? -
Gdzie zaś to, co ją jawi i zawiera,
Pozornie sprzeczne, choć wierne - **litera**.
Balsam to wszakże, **wówczas** tyle skryty,
Ile pomijan dziś, lub nadużyty -

Ból zaś młodzieńca - och! - mniej zroszowały,
Niżli dzisiejsza bywać może boleść:
Siły go z progów rodzimych wyrwały,
Te, co dziś o nich prawi ledwo powieść -
Sierota wprowadzie - lecz któż swoich nie ma! -
W świat poszedł szukać prawdy i mądrości.
Dziś już nie chadza się tak **za obiema**
Razem - ni pragnie się ich - ni zazdrości -
Jak to bywało w onych czasach dawnych,
Dla myśli jednej, od sławnych do sławnych,
Z Grecji pod cienie piramid trójkątne
Idąc - do Grecji z Chin*, w głuchym milczeniu
Na głośne lekcje, na szepty pokątne,
Na inicjacje i ciemne, i w cieniu.
Jakoż te trudy a radości one
Nie znane już są po dawnym imieniu,
Zaniewiedziane albo przemienione.
- Że jednak **Władca**, będąc doskonały,
W zniszczeniu nawet ocala i tworzy,
Więc wszystkie rzeczy **są**, które **bywały**,
Acz w tryb ujęte coraz więcej Boży -
Jeśli więc one sztuki czy boleści
Trwają - to inna je sfera dziś mieści.
Energie bowiem wszystkie Pan ocala -
Stworzeniem jego będąc znakomitym;
Tylko usterka ich sama się zwala
Najściślej słusznym sądem, nieodbitym -
Ale też same dzielności uczucie,
Co Aleksander lub Annibal miewał,

Trwa - w prostodiuszej, w doskonalszej nucie,
Iż je ból z czasem wytworniej dośpiewał.
- Taż sama prawdy radość Sokratowa
Gdzie indziej dziś jest - ale jest - i nowa!
Pan bowiem jest i **Mistrz** - a rzekłbym: **prawie**
I uczeń - trud tu równy już zabawie -
I stąd jest owa niespożyta dzielność
Łaski - i stąd jest w śmierci - nieśmiertelność.
Z Epiru młodzian, wśród czasowych mętów
Zawiei, mroku pełnej i łyskania,
Nie znał był jeszcze onych dyjamentów,
Co do kolebek dżdżą dziś przez podania -
Nad piersią matki paciorkami wiszą,
U nianiek nawet uszów się kołyszą -
I pod dziecięcia ochrzczonego stopy
Że położyły się raz jako snopy,
Urasta z czasem człek do tyła dziki,
Iż nogą depcze zbłoconą te skarby,
Co mędrce w pocie, we krwi męczenniki
Powykreślali i ubrali w farby –

Acz - może w zamian - może, mówię, nie ma
Dziś onych zbójców podłych i leniwych,
Co nieraz mędrca rękoma obiema
Rwali - co skrycie pytajników krzywych
Jakoby haków wręcz tak używali -
By wiedzy dostać bez własnego trudu -
Aż się i kości nieraz doszukali,
Aż domacali się pod kością - cudu.

- Wśród sępów takich z dziobami krzywymi,
Na urągowisk szczudła podniesiony,
Niejeden stawał, nie tykając ziemi,
Wszech-skrytykowan i wszech-opuszczony:
Konając w sobie z pragnienia i głodu,
Współcześnie plwany i współcześnie czczony,

Jak na pał wbity na dumę narodu.**

- Ci zaś, co prawd mu z serca dobywali,
By wiedzy dostać, nie spociwszy czoła,
Nie znali, biedni - ach! - że kryształ soli
Każdy ma prawa swe - i Archaniola,
Co mu pogwałcić tych praw nie pozwoli.***

Tych zbójców ducha, tych sępów próżności
Była to właśnie jedna z pór - skąd jedni
Nie dopuszczali do poufałości,
Drudzy się w cieniu kryli, będąc biedni,
Innych raz po raz na plac wyciągano,
Wieńczono, plwano i zapominano.

- Lecz nikt całości tej tak cichej sprawy,
Krwia coraz więcej pijanej, nie baczył:
Księżyc ją tylko oświecał bladawy,
Czas tylko zgony na klepsydrze znaczył -
Cichoście**** tylko po zgonów odstępach
Raz wraz jak nieme czaty przechodziły;
Krwii tylko czasem płameczka na sępach
Lśniła - gdzieniegdzie lampy się paliły
Gliniane, biedne - oświecając karty
Pism, lica zwiędłe, przy nich płaszcz wytarty.

Takie bez-barwne, bez-plastyczne tyle
Pobojowiska! - takie Termopile! -
Któż mógł odgadnąć? czyj wzrok mógł dośledzić
I jakie serce przeniknąć te bole?
Których nie dotknąć, ani wypowiedzieć,
Ani okrzyczeń i wywieść na pole
Teatru - w trąby pozłacane trąbiąc -
Wskazując gestem, w cymbał laską rąbiąc?!****

Zwłaszcza iż żywot, tak ze wszech miar party,
Stawał ci nieraz jako księga spsuta,
Rozwietrzająca przed oczyma karty,
Tak że cień ledwo zostawał i nuta,
I nuty echo. - I bywał jakoby
Powietrza upust z płuc, pod nogą groby -
Czczość, jakby tchnienie ci wpiernw rozebrano,
Niż mogłeś westchnąć podnosząc się rano.
A któż podzielić i dostrzec mógł bole?
Nie widne jako półmisek na stole?***** - -

Chybaby pierwwej wszystkimi żywoty
Najboleśniejszej treści i istoty
Jako ostatni wygnaniec na świecie
Żył - a miał pierwsze prawo na planecie! -
A był zniweczony tyle, ile w sobie
Wszech-pacierz całej tej tragedii skupił;
I nad-człowiekiem był w człeka osobie,
I tak zmordować dał się -

I odkupił -
Kobiety może serce by to zgadło,
Ta jednak wówczas była jeszcze niczem:
Dla wielożeństwa nie istniało stadło,
A która żyła sama - była biczem
Przelatującym od ręki do ręki,
By ogniem chłostać, pociągając wdzięki -
Ubogi nie miał i takiej - bo droga!
Najpowabniejsze - z góry zapłacone.
Mędrzec niewiastę, co go jak raroga
Nie pojmowała, odsuwając w stronę,
Pozostawały, jak ulga a rada:
Traf wyjątkowy - stoicyzm - i szpada!
Syn Aleksandra przezierał to w sobie,
Gdy wonie kwiatów skronie mu oblały,
Jak posągowi na samotnym grobie -
Więc bardzo czuł się osobny i - cały.
- I począł Zofii odnawiać wspomnienie,
Pieśń za śpiewaczki przyjmując sumienie,
Lirę za postać - i z tej **dwoistości**
Silił się **jedność** utworzyć - na próżno!
Rozdwajała się w rękę, bez litości,
Na pieśń i postać, jak z dniem ciemność różną!
I czuł - że klamać począł, acz niewinnie.
I czuł - że działać począł dobroczynnie -
I umęczył się bardzo tą robotą
Bez-narzędziową –
I wstał - kosz wziął w ręce,
Na łoże sypnął nim, z ową pustotą

Niezgrabną, którą gesta niemowlęce
Psują rzecz, cale nie troszcząc się o to –

Lampa u schyłku promień niosła drżący -
On leżał na kwiatów stos, jak człowiek śpiący.

* Pitagoras około dwudziestu lat w Egipcie, także podobno w Galii i w Indiach; **Lao Tseu** z Chin.

** W Efezie po wygnaniu jednego obywatela wniesiono prawo tak brzmiące: „Niech nikt nie śmie nikogo w niczym przewyższyć!”

*** Wiadomo, czemu np. Sokrates już nie mógł używać poufnego sposobu nauczania, ale mawiał przypuszczając zawsze naprzód, że słuchacz wie dobrze, co mu powiedzieć miał.

**** **Cichoście, cichość**-wzięte jest postaciowo.

***** Jest to napomknienie gwoli obyczajowi, jaki był u starożytnych, iż krzykacze płatni u wejścia do teatrów obwoływali wdzięki sławnych kobiet etc.

***** **Półmisek na stole**, albowiem zwyczaj [był] przy uczcie traktować kwestie socjalne i filozoficzne.

XXI

Wieści, co pierwaj krążyły po Rzymie
W sposób nie dosyć jasny i czytelny,
Zaczęły postać przybierać i imię:
Z Bretanii pono generał naczelny
Severus Julius wrócić miał niebawem,
Także legiony z dawna nie widziane
Cesarza wolą ściągano, czy prawem
Nowym? - Te nocą nieraz, jako ścianę
Równą, księżycą bielmem wyjaśnioną,
Napotykałeś, ustępując z drogi,
A czuleś ścianę gmachu poruszoną,
Mierzonych kroków masy szmer złowrogi.
- Orły, co w bramę głową pochyloną
Szły na chorągwiach, wojenne maszyny

Skrzypiące w marszu: cały system żywy
Energii, tudzież zagład i perzyny,
Elastycznością swą, miarą i siłą
Przerażał wszystko, co się doń zbliżyło -
Tak że widz w sobie powtarzał zdumiony:
„Bóg to Rzymianom wymyślił legiony!”*
Niektóre domy wraz drzwi zamykały
Same, lub wiatru osobnym podmuchem,
Nim żołnierz otarł je ramieniem z skały.
Innych na dachy **legion** ciągnął duchem,
Porywał oczy, kwiaty z rąk padały.
Moc jakaś pierwej szła przed szeregami
Tych obnażonych kolan i tych ramion,
I grzyw na hełmach - a wodzowie sami
Zdali się trzymać ją w **literach znamion**,
I magnetycznie giąć tymi członkami,
Kutymi w miedzi błyszczącej obręcze;
Zbierać je w chmury, w grzmot - rozwijać w tęczę.
Dramy aż naszej osoby to czuły;
Zofia nieznośną była dla służebnej;
Struny się liry nietykanej psuły;
Mag z lekarstwami swymi - tak potrzebny,
Jak niewidzialny dla ciężkiej słabości;
Barchob, **zmieniony jak nie swa osoba** -
Odprawujący **niemo** natłok gości;
Mistrz Artemidor, wzywany co doba
Do cesarskiego gmachu lub ogrodu;
Pomponius nawet, odwłoka zachodu
Okolo uczyty w Villa Pomponiana,

Zmieniony nieco –

Więc - **Elektra-diwa**

Sama - wśród tylu ruin niezachwiana,

Tylekroć więcej świetna - i szczęśliwa!

Nikt wszakże jasno nie widział przyczyny

Tak niefortunnej odmiany powietrza -

Mag tylko mówił - słysząc: „Są godziny

Różne - ta cięższa godzina, ta lżejsza;

Ta ma rozedrzeć, ta znów złączyć może.”

To mówił mędrzec, skarżąc się na łoże - -

* Wyrażenie **Flaviusa Vegetiusa Renatusa**: *De re militari*.

XXII

Syn Aleksandra stał przed Zofii łóżem,

Grecki mającym kształt - perskie kolory -

I te jej słowa mówił:

„Mag jest chory -

Któż może zdrów być? - sami często mnożym

Choroby, to jest, chcę mówić - **cierpienia**.”

Zofia rzuciła okiem na służebną,

A raczej bielmem oka, bez wejrzenia:

Czy szyje - rzecz jej całę niepotrzebną -

Zwyczaj to wszakże, od czasu do czasu

Na niewolnice okiem tym spojierać,

Jakoby pracę śledząc, bez hałasu - -

Nie - by się na tej czujności miał wspierać

Interes żyda, jak gdzie w domu biednym -

Lecz że się zwyczaj taki stał powszednym.

To Egipcjanka czując, nim się stało,
Sunęła żwawiej swoją ręką małą.
Syn Aleksandra błędnym okiem rzucił,
Czy tuż stojącej liry nie wywrócił? -
I wyszedł - Zofia, na to bacząc mało,
Zasnęła-

Chwilkę, ktoś idąc, zanucił:

(Śpiew przechodnia*)

„Tam Hektor, gdy swojej nie znalazł **jedynej**,
Ku progom znów wrócił, służebnic wołając:
Ej! mówcież mi, dziewczki, słowami szczerymi,
Andromaka gdzie znikła łabędzio-szyja? -
U mych-że sióstr? - w szaty świąteczne ubranych -
Czy gwoli prósb wyszła z Trojanki drugimi
Ukoić gniew bujnie-warkoczej Atenę? -
Ej! - mówcież mi, dziewczki, słowami szczerymi - -”

Zofia, gdy pierwsze usłyszała słowa,
Do sługi rzekła: „Stało się wybornie,
Iż gość odeszedł, bo jestem niezdrowa.”
- Tu Egipcjanka, kłoniąc się pokornie,
Rzecz: „Udatność naśladować bogów,
Na palcach sunął od łoża do progów” -
I szyć poczęła z niezwykłym pośpiechem,
Gdy pani uchem szła za pieśni echem.

* Nie trzeba sobie wyobrażać **pieśni** w znaczeniu muzycznym tego wyrazu; są te wiersze z *Iliady*, VI pieśni.

XXIII

Lucius Pomponius leżał od niechcienia
Na łożu*, skórą lamparta przysłanem,
I piórem pawim lekkie rzucał cienia
Na twarz Elektry - ta wygiętym stanem
Łączyła swego poduszkę siedzenia
Z krawędzią łoża, jak owca znużona,
Kiedy spoczynku szuka na pustyni,
Kłękając przodem. - Wieńców miała kilka
Na rękę** - długie bardzo zausznice -
Jaskrawe oczy, dziwnie pełne lice
I wargi, jakby je spinała szpilka.
Słowem - że, gdyby nie pewne ruszenie
Ramion i silny śmiech, z diwy takowej
Byłoby bardzo przystojne stworzenie -
Lucius tak mówił: „Nie czuję się zdrowy” -
I pogardliwy gest dodawał nogą,
Jak, ze złym koniem wjechawszy na rowy,
Przeskoczyć wątpiąc, uderzasz ostrogą -
„Niezdrowy jestem” - i gwał pióro pawie,
Chwiejąc nim: „Chory nawet jestem prawie.”
„Pracujesz nadto w poetyckiej szkole
U onej sławnej Zofii” - rzekła diwa.
Pomponius na to: „Czytasz mi na czole;
Trudzę się - śmierć stąd - ale śmierć szczęśliwa l”
Tu - piórem pawim pociągnął po stole.
Elektra smutek skłamała na licach,
Pomponius rękę podał jej leniwo,
I w dwóch - bez ognia - błysli błyskawicach -

„Bądź mi szczęśliwy!”
„Bywaj mi szczęśliwą!” -
Pomponius tymże Elektrze rzekł tonem,
Ale co dalej mówić? - nie wiedzieli,
Iż, osmuciwszy się zawczesnym zgonem,
Zbyt blisko czuli siebie i widzieli.
Więc - była chwila milczenia - po onej
Pomponius, wina wychyliwszy czarę,
Zarzucił głowę w tył, jak wywrócony
Konaniem. - Rzeźby nam podają stare
Twarz Aleksandra, gdy konał, i szyję,
Gdzie krew, ścinając się, w żyłach się wije.
Owóz, okropny mniej, jakkolwiek wiele
Zbliżony, widok Pomponius przedstawiał,
Niedocieczone k'temu mając cele,
Lub dramy miłość, iż w ową się wprawiał.***
Elektra z strony swej chciała podobnie
Usmętnić lica - i nie mniej nadobnie -
Gdy tak Pomponius rzecze: „Umiejętność
I **Zofia**-albo: **scjencyja** i **ona**,
To życia mego drama i namiętność -
Miłość jednakże ma jest-że dzielona?
Jest-że pojęta? jest-że zrozumiana?”
To mówiąc, piórem oznaczał akcenta
Mowy, jak retor, gotując się z rana
Do wystąpienia w ciągu dnia. „Pojęta? -
Nie wiem, dzielona? - zaiste;
Zaś zrozumiana? - mniej niż oczywiste -
Słowem - Elektro luba! - „

„W tym mówieniu
Jest **coś, co nie wiem**” - Elektra odrzecz
Z iskierką blasków niezwykłych w spojrzeniu.
Na co wręcz Lucius Pomponius: „Nie przeczę.”
I wstał, lecz widno było mu z tym raźniej,
Iż czuł, że zazdrość tej aktorki drażni.
„Czekaj! - nie wyjdiesz!” - zawoła wraz diwa,
Przeiętą ręką dzban kłoniąc ku czarze,
W którą się wina lała wstęga krzywa.
„Oto i świeży wieniec przy pucharze,
Na koniec uczty zgotowan umyślnie -
Pij - i o Zofii mów! - to cię uzdrowi.”
- Tu, jak syrena, z fali gdy wybłyśnie,
Ramiona białe mknąc ku żeglarzowi,
W ogrzane słońcem aby zeszedł fale,
Ku Luciusowi Elektra tak samo
Amfi-serdecznie, tak samo niedbale,
Z przewyższającą go poczęła dramą –
„Jest-że ta Zofia piękna? - Że uczona,
To wiem - jakie ma oczy? - i ramiona?”
- Co wszakże mówiąc, usta jej znikają
W drzeniu, iż rychłe czyniła pytania,
Gdy Lucius więcej zdawał się niedbały
Ku odpowiedziom, i baczył te drgania,
Jak rybołówca śledzi pióro wędki:
Tym lepszy w sztuce swej, że niezbyt prędko.
Scenę tę, w ścisłym znaczeniu wyrazów:
Scenę - chód przerwał znany, głośny echem
W przysionku z gładkich budowanym głazów;

Tylko z niezwykłym gościowi pośpiechem -
I w rozrzuconej upięciach zasłony
Florus się zjawił, wołając: „Nowina!” -
„Cóż? wyrzuć z togi?” - „Janus otworzony!” -
I tu uśmiechnął się - „Jeśli nie, wina
Twoja! - Pomponius odpowie mu luźno -
Żeś wojnę przegrał, przychodząc za późno!”
„Owszem, tryumfuj ty i wszystko twoje,
Quod felix faustumque sit” - to rzekł do diwy.
„Przynoszę wszakże wieść, iż niepokoje
W Judei wymiar biorą - niewzgardliwy -
Coś rzeczywiście podobnego wojnie -
Acz Janus może spoczywać spokojnie.”
Pomponius, który przed gościem przybyciem
Zdał się pogardzać i śmiercią, i życiem,
I zalotami diwy, i istnieniem,
Jak nadużyty człowiek w onej porze,
Kiedy jest bliski odwionięcia cieniem
Tam, gdzie, nic nie chcąc chcieć, wszystko się może:
Skoro jednakże słuchać począł wieści,
Niewłasne w niego wstępowały drgnienia -
Acz nie dla jakiej stąd wysnutej treści,
Która by wskrzesić miała ruch sumienia,
Tylko że szlachcic rzymski najmniej dzielny
Jest **politycznie** człowiek nieśmiertelny.
Więc i ton jakiś nastroiwszy nowy,
Pytał o źródła zamorskiej powieści:
Ile w niej prawy głos ? ile ludowy ?
Brzmieć mógł. - „Bez bogów wychowany części

Lud, jako Żydzi są, **bez bogów, mówię**,
Uznanych prawem w sposób przyzwoity,
Ani bez wiedzy, która w swej osnowie,
Przez ogólnego głosu sens wykryty,
Za ster i stylu nam iglicę służy,
Cóż wyda? - oto wzburzy się i **zburzy!**”
To gdy powiedział, sam usłyszał potem:
Tak, nieumyślnie wyrzekłszy przysłowie,
Spostrzegasz później, czy służyło mowie? -
Czy cudzym trafnie uderzyłeś grotem? -
I dodał: „Gdyby mi służyło zdrowie,
Ściągnąłbym rękę po stopień ojcowy,
Zawdziawszy pancerz nabijany złotem.”
Mówiąc to, macał się po wierzchu głowy,
Jako gdy hełmu poprawia wojownik,
Ramieniem przy tym robiąc, jak pułkownik.
Diwa mu płaszczem piersi obrzuciła,
Coś Andromaki mając w tym ruszeniu;
Florus zaś, puchar jej, że nie skończyła,
Na raz wychylił - i siedli w milczeniu.
„Ty przywiózłbyś mi wschodnie zausznicę,
Ty byś ornaty przywiózł mi z kamieni” -
Mówiła - licem w Pomponiusa lice
Kłoniąc się, jako róża na jesieni.
„**Ja Żyda** nie znam żadnego - **co oni?** -
Czy są tam ludzie porządni w Judei? -
Bogaci w sługi? ~ czy każdy ich stroni,
Brudnych, gdy taczki wodzą po kolei,
Po drugiej Tybru głębokiego stronie,

Mularzom służąc i drapiąc się w skronie?

- Żyd mię nie kochał żaden - czy wy znacie

Żyda do rzeczy? „ - te rzucała słowa,

Tu, tam biegając w krótkiej swojej szacie,

Ta nieskończenie wdzięczna białogłowa,

Gdy Florus z Pulchrem milczeli -

Po chwili

Drugi rzeki: „Mag mi na pamięć przychodzi.”

« A Florus zasię: „Mniemałżebyś, czyli

Ten - jeśli Żydem jest - jeśli nie zwodzi

Głos ludu - mógłby wieści zgadnąć wagę?” –

Elektra na to: „Mag! Mag! czy się godzi,

Że nie znam! - będę sobie mieć za plagę,

Jeśli mi tego me sprowadzisz Żyda,

Któremu matron senatorskich tyle

Zwyczaj ma wolne swe poświęcać chwile.

Mądryś - mnie więcej uczoność się przyda,

Mnie, że nie jestem w filozofię wprawna,

Jak która inna stara - chcę rzec: dawna?

Ale - tyś nie rad mnie pokazać - jemu?

Ale ty może nie jesteś z nim blisko ?

Ale ty smutny - chory? - spytaj - czemu? -

Maga się poradź! - odmień mi nazwisko! -

Przebierz mię - powiedz, że twa jestem krewna;

Chcę znać go - poznam? - poznam - jestem pewna.”

* Trzeba pamiętać, że leżeć, pokarm biorąc, przyjęte było.

** Na płaskorzeźbach spotyka się, iż kobiety greckie, przy łożach w czasie uczt siedząc, wieńce nawleczone na rękę prawym miewały.

*** Tak wielu modnisiów starożytnych poklaniało na przykład głowę ku ramieniowi, z powodu iż Aleksander

XXIV

Politycznego jeden obrót wiatru
W ciele tym, ściśle politycznej treści,
Naszego scenę odmienił teatru -
Tak że powrócić gładko do powieści
Byłoby ująć z prawego jej toku.
Domy na **piasku** lekkim budowane
Powodzi pluskiem odjęte są oku;
Tylko, gdzie **skała** podtrzymuje ścianę,
Nad mętnej fali trwają szaleństwami.
Podobnież z ludźmi i społeczeństwami!
Kto słaby, **chorzał**, a kto nie był chory,
Cierpiał - i zdały się rządzić **humory**,
Które są jako cugi powietrzane,
Dotykające, lubo niedotkliwe,
Po bólach tylko otrzymanych znane:
Krzywe na proste, a **proste** na krzywe
Paraliżując w człowieku zbiorowym –
Co - że zapomniał się nim - jest niezdrowym.

Do kogóż wrócić w tej powieści całej,
Gdzie wchodzi **ludzie**, a nie **idealy**?-
Na łóżach jedni, drudzy **poza sobą** -
O wszczętej inni dyskutując wojnie,
Obecną, rzekłbyś, iż wzgardzili dobą
I odpoczęli w ruchu, niespokojnie:
Jakoby pierwiej chcieli rozstrzygnięcia

Rzeczy, bynajmniej ich nie obchodzącej,
Nim do powszednich powrócą zaczęcia.
W mowy ogóle, w ogóle pojęcia
Fałsz jakiś, **zapał** jakiś **nie-gorący**
Rządził, i ludzie bywali chwilami,
Jakoby sobą nie władnęli sami.
- Ten to powiadał, co zasłyszał mętnie,
Zuchwale broniąc, bo nie swojej rzeczy;
Ów, że to uczył, słuchał obojętnie -
Ten, obojętność, mniemał, iż mu przeczy,
Więc wieść podwajał, by zrobić wrażenie,
Wywoływając tym większe zwątpienie.
Gniew stąd w powszednie wmieszał się pożycie,
Jako element potrzebny koniecznie -
I darło się to zewnętrzne okrycie
Ładu - co ufać radziło bezpiecznie.
Nie - iżby rozruch w prowincji dalekiej,
Mało ważony nawet przez Cesarza,
Zagrażał państwu - lecz że dni i wieki
Często niewielki wypadek przetwarza
I, większość sobie obracając na tło,
Całej epoki garnie na się światło.
Prawda to cudem czyni, ale - bywa,
Że i **Ironia** w ten się płaszcz odziewa,
Ta siostra Prawdy urzeczywistnionej -
Głupia! - w zazdrości swojej dla **natchnionej**,
Podrzeźniająca gestom jej, w mniemaniu,
Że uwielbienie podda urąganiu.
Acz jest to siła! - lecz dwojakiej treści:

Bezwłasnowolna - przez ucisk powstała,
Która się rodzi z nadmiaru boleści
I współ-leż nie ma, bo **się przecierpiała**,
Współczucie tylko ma złączone z racją,
Zimna i pewna w zasadach, jak skała -
Tudzież ta, która, władnąc fascynacją,
Gore, a zawiść z nią, sztuczna z nią chwała
Samozwaństw, chcących być arystokracją* -
Fascynacja zaś składa się, nie rodzi -
Czym zaś jest **przez się?** - nie wiem, ani zgadnę;
To tylko jedno dodam: że pochodzi
Od fascies; jest to coś - tragicznie-żadne.**
Przez labirynty te, nie budowane
Głazami, z ludzkich uwiane żywotów,
Hieroglifami pozapisywane -
Duch, jako powój wśród chruścianych płotów,
Gdy się przewinie raz, umierać gotów.
Tak żal mu własnej siły, że dotrwała!

Duch zaś - gdy umrzeć chce, to pragnie ciała.
Od progów Zofii syn Aleksandrowy
Niósł się jak drzewo z posady wyrwane,
Gdy Akwilonem jest podejmowane
I idzie, wieniec otrząsając z głowy:
Upadku miejsca błędną szuka nogą,
Zniszczenie mając i celem, i drogą.
„Czemu? - że jedno zimne go spojrzenie
Jak włóczni poszturch na skroś nie przebiło -
Czemu? - że nie ją, jej ukochał cienie -

Albo nie znalazł w niej, co mu się śniło -
Lub chciał, ażeby te wiedziała rzeczy,
O których mniemał, że wiedzieć powinna -
Mąż nierozsądny! - I któż go uleczy
Z rany, co tyle krwawa i niewinna?
- Miałaż więc ona zgadywać **te słowa**,
Których się brzmienie powierza kamieniom,
Iż serc nie mają - a ludziom się chowa,
Iż mają - mogą mieć? - które **sumieniom**
Są jako morski żwir strusia wnętrzościom,
A jako zbroja ordzewiała - kościom? –
Nie rozsądniej-że było wziąć na stronę
. Niewiastę one? - - - - -
- - - - - i sylogistycznie
Rzec jej: „Uzucie dałaś za mamonę
I mniemasz, że d z tą zamianą ślicznie -
I jesteś głucha na okolne bole,
Na mozaikowym oparłszy się stole,
Który-ć odbija łokci alabaster -
Jako strumienia dno, pstre kamieniami;
A pieśń twa słodka jest - a miodu plaster
Z nie tylu kwiatów, nie tylu pszczołami,
Nie tylu kręgi lotów ich uwity,
Wdziękami ilu rym twój znamienity.”
To gdyby była dosłuchać łaskawa
Do końca treści, możnać by i dalej
Tłumaczyć: ile? jak? i gdzie? ta sprawa
Serca - płomieniem się niszczącym pali.
Wątpliwość każdą wyjaśnić przykładem,

Ominąć każde wewnętrzne zjatrzenie -

I tak przepoić się jej własnym jadem -

A własne jednak dotrzymać sumienie;

I - stać się dla niej wydeptanym śladem,

Po którym nawet i nieme kamienie

Bez krzywych zboczeń mogłyby się sunąć -

A potem - jad ów, wyssany tak, splunąć -

I - że się ciężar przestało już nosić:

Upaść mu jeszcze do nóg - i przeprosić -

Wtedy - o! wtedy ona by widziała

Wszystko, prócz ceny prawd - i wszystko w tobie

Ceniła - prócz twej krwi i twego ciała!"

Słów tych wewnętrznie młodzieniec domawiał,

Jakoby obca, rozsądna osoba -

Gdy w grupie ludzi potrafił Barchoba,

Który z rzeźnikiem stał; drugi oprawiał

Baranka, białe zeń ściągając runo,

Krwią dookoła rumiane ciepława,

Jak gdy okrycie kto rozłącza z ławą,

Pierw do siedzenia miękkiego zasłaną,

Lub naklejone obicie ze ścianą.

Było to bowiem miejsce **Placem** zwane

Przedajnym - gwarne, wilgotne, zaulne*** -

W upały nawet, że nie zamietane,

Temperaturę mające szczególne

I coś szarego w powietrzu jak pyły.

- Tu, tam, wnętrzości leżały na bruku,
Indziej się kwiatów wieńce czerwieniły -
Ptasząt śpiew wmięszan do powózek huk,
A do cięć głuchych w mięso ludzka mowa,
Dawały temu obrazowi **całość**
Ducha w rozpaczy, gdy wyczerpnął słowa
I zaniepoznał, co radość? co żałość?
A widząc **rzeczy-różnicę**, nie **rzeczy**,
Gdy twierdzi nawet coś, to wstecznie przeczy.

Barchob, ud kupna odwróciwszy lice,
Napotkał oczy przechodnia ku niemu
Zwrócone, jako letnie błyskawice,
Lecz te wraz gestem pytającym: „Czemu?”
° Usunął, sprawę swą kończąc z rzeźnikiem.
- Dziewczyna jakaś przeszła między niemi,
Naczynie niosąc bełtające mlekiem -
Jak łani, ledwo że tykając ziemi.
Ta zawołała: „**Quidam?**” - za człowiekiem,
Który szedł, koszem do pół osłonięty,
A ziół i kwiecica woń powiała wkoło
Ostra, jakoby woń koszonej mięty;
Syn Aleksandra schmurzył blade czoło,
Nie mogąc pojąć milczenia Barchoba,
I szukał okiem, zali się nie myli?
- Gdy ruch się zrobił w tłumie - tak że oba,
Za tłumem, w jedną stronę się zwrócili.
W głębi zaś placu powstała rąk chmura:
Lud na bez-sprężne powskakiwał bigi,

„**Wól! wól!** - wołając - **święty!**” - przy tym: „**Hurra!**” -

A podbiegając z krzykiem na wyścigi,
Kapłańskie sługi, w podkasanych szatach,
Z stryczkami w ręku sunęli po kwiatkach,
Po koszach, w błoto ległych z owocami.
Kapłańskie sługi biegli ze stryczkami,
Gdy wśród zwichrzenia tłumu rogi złote
Byka, co one rozganiał hołotę,
Jakoby księżyc za ledwo wschodzący
Na ziemię zleciał, toki nierównymi
Siekły przez obłok ludu pierzchający,
Od ziemi w górę i z góry do ziemi.

Policja rzymska w tę wmięszana sprawę
Organizować poczęła wyprawę,
Głosząc: „**Schwytany ma być! jest schwytany!**” -

Włóczyniami tłumy cofając do ściany.
I wraz porządek gwałtem rósł, gdy szpiegi
Skoczyli niemniej szykować szeregi -
Czas, w którym człowiek z toporem na ręku
Uderzył w ramię młodzieńca z Epiru -
Szukającego w gwarze tym współ-jęku.
- Tknięcie to, wzgardy pełne, twarz nieznana
Męża z toporem onym - tak dobodły
Poniewieraną wrażliwość młodziana,
Iż ściągnął k'niemu leniwą prawicę,
Leniwą wargą drgnął i wyrzekł: „**Podły!**” -
Ale już wtedy, gdy go jak kotwicę
Zgiętego rzucił o ziemię.

„**Prze-bogi!!** -

Tłum zaczął wołać-**morderstwo Kapłana!**” -

Zwłaszcza iż wołu właśnie złote rogi

Ujęto stryczkiem, a rzesza wezbrana

Nie miała ujścia chuciom ani drogi.

Policja z swymi skoczyła włóczyniami,

Gdzie Aleksandra syn trzymał pod nogą

Męża-a **jakiś ogrodnik** słowami

Łagodził rzeszę pachołków złowrogą,

Co krwawe stryczki nosi i kadzenia,

Ilekoć żertwa jest gdzie do spalenia.

„**Puszczaj!**” - zawoła setnik, gdy młodzieniec:

„**Niech zaraz rzuca topór!**” - k’czemu zasię

Ogrodnik dodał: „**Z toporem szaleniec!**” -

A setnik ręką skinął - w tymże czasie

Kapłański sługa wyrwał się - a potem

Brazowy topór jak ptak z rąk mu sunął,

Powietrze skrzydłem swem przekroił złotem -

Padł - Aleksandra syn zadrżał i - runął.

Krwi sute pasmo fontanną wraz krzywą

Z początku bystrzej, potem szło leniwo,

Kolana widzów pieczętując nagie,

Wokoło trupa ciepłego zebrane -

Utrzymujące ciało tych równowagę,

Które traf skupił i ułożył w ścianę.

Trup się po bruku przeciągnął płaszczyźnie,

Podając rękę ku niebu, jak w chwili,

Gdy naciągany łuk ci się wyśliźnie -

I rzekł: „Na targu - konać - jak w ojczyźnie

Konać - wyśmiewa się z siebie ironia.”

- Coś jeszcze mówił, gdy doń przyskoczyli,
Lecz oderwała słowa ust agonia,
Których świat niewart, a śmierci są łupem:
To zaś, co podjąć jęto, było trupem.
Ogrodnik tylko, obecny tej sprawie,
Wyciągnął rękę i rzekł: „Błogosławie
Duszy twej - a wy! co **znaczy** skonanie
Młodzieńca tego, kiedyś się dowiecie -
Którzy jesteście ślepi Kainanie,
Rozbijający braterstwo na świecie,
Obrazy stawiać własnego zbłąkania
Czynami, z których każdy **was odsłania-**
I jako scena w teatrum naucza,
Do prawd zakrytych by szukano klucza -
Bóg, gdy ofiarę nożem czynić miano
Na niewinnego miedzianka wzniesionym,
Nasunął owcę w ciernie uwikłaną,
Krwia ludzką, nie chcąc, aby był chwalonym;
I wołał przenieść ofiarne skonanie
Nad krwi wylanie - -
Ale wy - byka minąwszy toporem,
W człowieczej krwi się chłodzicie - szalem!
Tym, mówię, czytać gdy poczniecie wzorem
Pisanie, co się w powietrzu czerwiem,
Padniecie na twarz - „,
„Precz z nim! - co on rzecze?” -
Wołano. - „**Ktoś jest, ponury człowiecze?**”
„**Czytać** - ogrodnik ciągnął, patrząc w górę
Jakoby w pisma zwój - czytać żywotów

I skonań księgę, czytać chmurę
I światłość czytać, zapisanie grzmotów” -
„Tak jest” - po chwili dodał. Grecy z tłumy
Wołali: „**Pólbóg-że zstąpił?**” - a męże
Żydowscy: „**Ktoś ty?**” - a rzymscy: „**Człowiek bez rozumu!**”
Rota, gwałtownie wstrząsnawszy orężem,
Kazała milczeć lub z placu uchodzić -
Ogrodnik rękę wznosił ponad zwłokami
I, szepcąc, począł w powietrzu nią wodzić,
Jako gdy w rolę rzuca kto ziarnami.
- A szept ów służył jemu za nasienie,
Gdy mąż-**libertyn******, pod-setnik, co wszczyna
Marsz, gdy w szeregach równają golenie*****,
Zawołał: „Człowiek ten szepcąc przeklina! -
Chrześcijański to pies!” - a kapłańskie sługi
Stryczkami k’niemu puścili krwawemi,
Jako gdy brudne wiatr ogarnie strugi
Z dachów, i luną z tak równym hałasem,
Że, z **góry**, nie wiesz, trysnęły czy z **ziemi?** -
I - niezadługo - w zawierusze tłumy
Widziałeś Gwida skroń lub ramię czasem,
A czasem sznura tylko silne drgania,
Co tu i owdzie chwilowo rozgania,
Jak gdy przewoźcy ciężar wleką promy
Nierównym chodem, po nadbrzeżnym piasku,
Przy upominań się wzajemnym wrzasku.
I niezadługo na tym placu gwarnym
Zamknięte tylko kupczących szalasy
Stały szeregiem milczącym i czarnym.

- Zachodu słońce, purpurowej krasy,
W błota się szybach mętnych odbijało;
Młodzieńca cichy trup leżał, okryty
Kwiatami z koszów gwałtem wywróconych -
Pies jakiś wietrzył krew - - jakieś kobiety,
Przechodząc, kilka róż mało zbuczonych,
Podniosły - cicho było i zielono
Na bruku, który właśnie opuszczono,
Podobnym, z barwy, miejsca i wspomnienia,
Do **wag-rzeźniczych** - te, z urzędzeń zmianą,
Z ciężkiego nader że były kamienia,
Do nóg męczeńskich gdy przywiązywano,
Krwi nieraz świętej bywał na nich napis,
Skąd kamień wag tych zwą: *martyrum-lapis******

* Arystokracja - *ares, aristos*, po łacinie *praestantissimus*, albo bystry, bystrzejszy, najbystrzejszy; *arostos* znaczy także: wyborny; *kratos* — moc, władza, potęga; jednym słowem, *aristokratia* znaczy: najznaczniejszych-władztwo.

** *Fasces* - **pęk-lóz** noszony przez liktorów na znak czujnej dyscypliny rządu. - Że pierwsza zwłaszcza epoka prawa rzymskiego - sabińska - obejmowała w praktyce swej **cały rytuał mimiczny**, *fasces* takie pewnym sposobem wnoszone gdzieś, wywierało magnetyczny urok. - Należałoby, aby czytelnik bliżej by, obznajmiony z treścią życia społeczeństw starożytnych - czego **literalne ksiązek samych czytanie**, bez czytania pomników sztuki niepisanej i żywotów współczesnych, o ile są tradycyjnymi, nie nauczyaby z tych słów pojął, o ile i jako filologiczne pochodzenie wyrazu *fascinatio* wywodzi się od *fasces*. Były różne akcenta mimiczne nierozłączne z odwoływaniem się do prawa, a właściwe naturom spraw przed trybunał wytaczanych, i prawie nie mniej od samejże **litery kodeksu ważne**. Ale do powieści niżej dopiski tak szerokie mogłyby być zanadto mnogie - zostawia się je przeto uwadze i studiom czytelnika.

*** Zaulne od zaułek.

**** Mąż-**libertyn** znaczy: w Rzymie z niewolnika i niewolnicy urodzony; za Tybrem było ich przedmieście.

***** Linie w wojsku równały się po goleniach.

***** Kamień podobny do agatu jasno-zielonego, z którego wagi robiono, a potem, zmieniawszy je, używano ten ciężar w męczeństwach, rozmaicie go stosując; pierwiej zwany przeto *aequi-pondus*, potem zaś *lapis-martyrum*.

XXV

Jak przez **czasowe** gdy kto **wieczne** słyszy
I folgę daje obecności gwarnej,
Bacząc, czy odgadł, **gdzie jest?** - bacząc w ciszy,
Której treść wielka, lubo pozór marny -
I próżen rzeczy znikomych kwapienia
Próbuje tylko, ile mu jest dano
I wolno swego uchylić sumienia
Za cyrk, gdzie jeszcze walk nie dokonano:
Tak Jazon, wieścią choroby okryty,
Samotnie wschody liczył i zachody -
To przed domostwem siadując jak wryty,
Niewiele baczny na wieczorne chłody,
To od przysionka przechodząc wzdłuż sali,
Gdzie drży fontanna i lampa się pali.

Zamorskich mężów mniej już zachodziło
Do drzwi Magowych pukać i przed domem
Czuwać - i jakby się coś dokończyło
W teatrum, pierwiej co chwila ruchomem -
Znikli. - A jeśli poranił kto osoby
Do tyła ciche, to gdy sam był w stanie
Uciszyć niemniej własny zmysł i doby,
Która się raczej miała na wezbranie -
I obfitością trafów, mniemań, wieści
Radziła, owszem, wybiegać poza nie
I szukać, czego szuka się w boleści
Krzykiem, lub czego myśl pożąda w czasie,
Lecz co jedynie w duchu spotyka się - -

Więc, co pierw było, skryte jest zasłoną
Pewniejszą, niżby z głazów ją robiono,
Zdziwienia nawet nie zostawującą,
Jak nie zostawia zdziwienia na świecie,
Że starzec umarł - zrodziło się dziecię.

Przechadzkę swoją po izbie, niechcącą,
Prowadził starzec krokami równemi,
Gdy w drzwiach otwartych stanął mąż nieznany,
Bosy - że Jazon podniósł wzrok od ziemi,
Spotkawszy nogę obcą mu u ściany -
Tak już był przywykł ufać, iż nie inny
Kto ? jeno Barchob u niego gościnnie.

Mąż że z daleka szedł, że w Rzymie świeży,
Po samej łyżce z cytymskiego drzewa*,
U pasa jego wiszącej, z odzieży
Także poznałbyś. - „Akiba się miewa
Dobrze- **odgadłeś Gwiazdę i jej syna -**
Krew już płynęła - ta jest ma nowina.”
- Jazon ramiona wzniosł - uściskał potem
Przychodnia, pierwej wysłuchawszy mowy,
Jakby odległym jawiła się grzmotem -
I zaczerwienił się w sposób niezdrowy,
I zbladł - i rękę otarł jedne drugą -
I rzekł: „Spoczniemy - dziś - potem na długo
Spoczniemy - może” - i siadał wygodniej,
Niż to zwykł czynić sam - a ręki gestem
Wskazywał, by toż zrobił mąż przychodni.

I siedli - Jazon rzekł: „Słuchaczem jestem,
Mów - a spokojnie - bez zdawania rzeczy,
Co już obyło się w poselskich słowach -
Jak odpasanych brzęk coś mówi mieczy,
Kiedy zatyka się je w łoża głowach.
Tak mów, bym **czasu, powietrza i ziemi**
Używał z ciebie oddechami memi.”
To mówiąc, rękę kładł na męża ramię,
Skrzydłami nosa robiąc jak człek młody
I poprawując nieuważnie brody:
„Mów - **Posłannika** jak zgadnięto znamię? -
Wielu ma z sobą?”

„Set było niewiele
Konnych, co zwie się Machabejska jazda,
Piechoty tysiąc, lecz dziś, rzekłbym śmieie,
Dwa razy tyle wiedzie za się **Gwiazda**
Po drogach tkanych w gałązki zielone -
Bareochebas!- wążła wprawdzie świeca,
Kiedy się jawił - ta, rzekłbyś, dziewica -
Pacholę, rzekłbyś, mało doświadczone -”
„**Zmężniał**”- podpowie Jazon.**

„Rudo-grzywy! -
Przychodzień rzeczce -ku **Jaboku** stronie,**
Ku **Dekapolis**, gdy grano w cięciwy,
Zakłuto pod nim numidzkie dwa konie.
Trzydziestu za to wraz na placu kładzie
Z pancernejszej jazdy rzymskiej co najlepszej -

I nie ma-ż w sobie dorównywać szpadzie
I nie ma-ż od swej chorągwi być krzepszy? -
Zwłaszcza, że nie swój, ale prawie **owy**
Pierwszy obyczaj Machabeuszowy
Trzyma - we skrzydła dwa robiąc konnicą,
Łucznic! środkiem: a sam na kształt głowy,
Z ogromną ręką prawą, też z lewicą -
Z obiema zaraz po modlitwie wszczyna
Pieśń - a z trąb niżli się odleje ślina,
To krew się pierwej na toż miejsce rzuca,
Iż jest przeklęta krew - krew poganina!”

To rzekłszy, ziemię bosą zatarł nogą -
Gdy Jazon pojrzał naokoło - potem
Wstał - wyszedł - Barchob że nadchodził drogą,
K’niemu mistrz płaszczą połą jak namiotem
Wionął i gestem rzucił polecenie,
I jako pierwej siadł - było milczenie.

Po chwili weszło pacholę służebne,
Miednicę stawiać z płóciennym ręcznikiem,
Toż sprzęty obce, do uczyły potrzebne:
Drewnianą konew z winem, konew z mlekiem,
Stół, jakich w Rzymie nie ma, arfę złotą,
Schowaną w kaptur z sydońskiej purpury -
I piasek, którym sypało z ochotą
Na różnobarwne posadzki marmury,
Gałązki przy tym mając oliwnemi
Tak odmienioną powierzchność ziemi.

Wyszło - szeroki słońca promień z góry
W fontannę upadł, prysnął o marmury
I tęczę wywiódł sztuczną, co na ścianie
Szukała przyleć jako malowanie,
Gdy Jazon, włosy zarzuciwszy białe,
Do nóg przychodnia miał się. - „Być nie może! -
Zawoła pielgrzym - a - broń-że mię. Boże!” -
I począł nogi swe okrzemieniałe
Cofać i ramię odsuwał Magowe -
Czego Mistrz prawdę nareszcie poznawszy,
Usunął ręce, siwą otrząsł głowę
I prawie rozśmiał się jak dziecko - żwawszy - -
A potem, z dziwnym na twarzy wyrazem,
Ku arfie poszedł czerwono okrytej,
Mówiąc: „Gdyby się serce stało głazem,
Miałoby taki kształt!” - i pojrzał w szczyty
Domostwa, rękę wyciągając prawą,
Jak gdy kto burzy nadchodzącej słucha.
Usta mu barwą zabiegły bladawą,
Cichość się więcej uczyniła głucha -
Przychodzień nie śmiał kropli zwać w miednicę
I, zamiast nogi swe, ocierał lice,
Tając, że tai łzę, płacz tającemu:
Tak wzajem bali się pytania: „**Czemu?**”
- Ciszę tę świętą przerwał głos od dworu
Zabiegający, wyraźny głos sporu
Między Barchobem a gośćmi - głos, który
Cichł i podnosił się, i milkł w parowie,
Dwojakiej, zda się, płci albo natury,

Głos, jaki w serio tragediach faunowie
Mogliby jedni wywodzić na fletni,
Lub w czasie smutnym ludzie nieszlachetni.
- Jakoż Pomponius był to z swą przebraną
Elektrą - - Barchob ostatnie rzekł słowo,
I słychać było, że się drzwi ze ścianą
Zwarły, aż młotek uderzył na nowo - -

„Oto - Mistrz rzeczce - masz ich - to - Rzymianie!

Pompejuszowi wnukowie - któremu

Macie winną ze złota**** na ścianie

Zawiesił Judzki król lat nieco temu -”

I dodał: „Z chwili samego wyboru

Czy nie odgadłbyś *fascēs* i topom?

- O! ty, co, zamiast głupiej krwi bydlęcej,

Antyjochowych zbiłeś pięć tysięcy,

A powracając do Jeruzalemy,

Zostałeś kościół chwastami zarosły,

Niemy - i ołtarz mchem zarosły, niemy,

I drzwi spalone w żużel - gdzie się osły

Tarzały podłe - ty***** jesteś tu blisko -

Czuję cię przez łzę i urągowisko!”

„Uszczknijmyż nieco i w **jego** radości -

Przychodzień rzeczce - a jako dni osiem

Postanowił-był, osiem **dni światłości**,*****

Tak osiem godzin niech wesele znosim -

Znosim! - bo rzecz jest niecała - i krwawa - „

K'czemu siadając Mag rzekł: „Owo strawa,
Na jaką stać mię” - i chleb począł łamać,
Ale solenność odeń odchodziła,
Jak gdy natchnieniu kto dozwolił skłamać,
Niemocen doprząść tymże samym tonem
Treści, co albo zupełnie wątpliwa,
Albo wątpliwość stracić ma za zgonem -
I chociaż szczerą jest, kłamie, bo żywa.
Tak bowiem swego Mag Barchoebasa
Za czekanego uważał Mesjasa,
I wielbił **prawdę** - lecz przez opóźnione
Złudzenie, jako przy zachodzie słońca
Podziwiasz nieraz za dnia pominione
Okolic wdzięki - iż bliskie są końca! –

Skoro baranka napocząć mieli,
Barchob z podrzędnym usiadł pacholęciem
I jedli służąc, słuchając z zajęciem
Rozmów, jakoby onych treść wiedzieli.
Skąd chwile były tego zapomnienia,
W których „**gdzie**” znika, a myśl ze wspomnienia
Obecność tworzy - chwile przywołania
Przeszłości w jawność, lub czasu przyszłego,
Który się jeszcze oku nie odsłania:
Coś przynoszące upajającego
Przez oderwanie się od współczesności,
Boskości nieco mające i czczości.
Chwile, co dają nieśmiertelność tchnieniem,

Uobecniając treści niedotkliwe,
A niepokoją wewnątrznie sumieniem,
Szeptając: że nikłe są - że nad-prawdziwe - -
Więc, takie wina popiwszy kielichem,
Godzisz się wreszcie z myślą, żeś jest lichym -
Nie, iżbyś szukał znizenia się w zwierzę,
Lecz że, nie będąc duchem, twierdzisz: „**Wierzę!**” -
A twierząc, konasz rozumem doczesnym,
Stając się wiecznym, ileś nad-spółczesnym.
Tak ludziom na śmierć idącym się daje
Puchar***** - i w innych też chwilach solennych
Stwierdzają prawdę oną obyczajem
Ludów bynajmniej sobie nieościennych.

Właśnie tak Jazon kielich wzniosł - gdy z dworu
Stuk młotka zabrzmiał, a potem ten samy -
Lecz już jak cięcie obuchem toporu.
A dalej poświst zawias, co od bramy
Wypartej darły się wstęgą brązową,
I tupot skorych nóg zmieszany z mową - -
Mistrz wstał, lecz w chwili, gdy miał się ku sieni,
Liktorów weszło dwóch i znaczna rota -
Co widząc: „Bądźcie albo pozdrowieni -
Rzekł - albo niecznie zmyliliście wrota.
Cesarz-że pisze do mnie?” - Liktor na to
Pierwszy: „Litera, którą trzymam, złota,
Mówi, że **skazan jesteś na wygnanie,**
Ty - filozofy - tudzież chrześcijanie.”*****
Co rzekłszy, zaciąg czynił straży zbrojnej,

W przysionku stawiać szepczących żołnierzy,
Jak człowiek, swoje gdy pełni, spokojny
I zimny - pełni to, **co się należy** -
A łatwość w tym ma utrzymania rzeczy,
Iż sam nie wątpi i nic mu nie przeczy.
„Kończmy!” - rzekł Jazon i puchar wychyli!,
Ale ust nieco kielichem omylił
I - do setnika palec niosąc - rzecze:
„**Kajus******* - posłuchaj, służebny człowiecze -
Cezar, czterokroć zwań Imperatorem -
Pierwszy raz Konsul - także Dyktatorem
Nazwany wiecznym, księciu Hirkanowi
W umowie głównej głosi i stanowi:
Iż, skoro posły żydowskie przybędą,
Z senatorami na igrzyskach siędą
Patrząc, jak rzymski chłop się w cyrku bije.
A gdy zanosą skargę do senatu,
Tedy - jeżeli Rzym trwa, Cezar żyje
I, jak panować ma, panuje światu -
Dnia dziesiątego po listów złożeniu
Dyktator, albo pułkownik konnicy,
U Żydów onych stanąwszy w przedsięniu,
Zapyta, czyli chcą z nim iść lennicy -
Rzym-że trwa jeszcze ? Cezar jak się miewa?” -
To mówiąc, kaszlać począł nieprzytomnie,
I chwycił łyżkę z cytymskiego drzewa,
I obracał ją w ręku - -

„Ile do mnie
Rzecz ta należy? - zawoła przychodzić -
Jam nieznamy gość tu - wam zaś - zbrodzień!
Jam jest z powstańców mąż - obcy Magowi.
Czyńcież, co czynić macie - czyńcie zdrowi.”

Mistrz Jazon, słowa te słysząc, wznosił rękę
I popychany żołnierstwa poskokiem,
Wołał: „Coś w wietrze czuję - jakby **mękę**
Człowieka - krzyże - pod ciężkim obłokiem,
Przy Jeruzalem - na Trupich-Głów Górze” -
I padł, po piaskiem zasłanym marmurze
Skroniami miecąc gałązki oliwne,
Co zdały mu się uwieńczyć siwiznę.

* Drzewo **citim**, którego robak nie toczy.

** Wyobrażenie patriotyczne u Żydów, że Mojżesz musi być przed wszystkim chrobry.

*** Jabok ku Dekapolis nad odnogą Jordanu.

**** Tę macicę winną, zwaną **Terpolis**, widział jeszcze Flawiusz Józef w świątyni Jowisza Kapitołijskiego, a była ona z napisem: **Aleksander, król żydowski**.

***** Judasz Machabeusz.

***** Po przywróceniu czci kościołowi postanowił Machabeusz **osiem dni światłości** w trzy lata po profanacji, jak zapowiedziane było u Daniela proroka.

***** **Salomonis**, XXI 6: „Dajcie napój mocny ginącemu, a wino tym, którzy są ducha sfrasowanego.”

***** Po wiele razy tak chrześcijan i filozofów **razem** wygnaniem jednym dotykano.

***** Edykt ten Juliusza Cezara prawie dosłownie przytoczony tu jest.

XXVI

„Tyś winna - mówił Pomponius do Diwy -
Że oto dzień ten tyle nieszczęśliwy” -
I łamał *pedum* kościane jak trzcinę
Na coraz więcej drobne kawałeczki -

A kość parskłała i złote zeń ćwieczki
Wylatywały jak skry.
„Wina winę
Powiększa - Diwa na to mu odpowie. -
Gniew, *pedum* niszcząc, nadweręża zdrowie.”*

„Koniecznym było, zamiast starca budzić,
Napisać raczej do Zofii słów parę” -
Pomponius mówił.

„Zamiast palce trudzić
Łamaniem kości - pisz! - lub czekaj: stare
Tam są od różnych patrycjuszów karty;
Wybioreć sama list” - co rzekłszy, z śmiechem
Wybiegła - niby stając za zasłoną,
Pobrzmiwającą wszakże kroków echem -
Tak że Pomponius w głos zawołał: „**Żarty!**”

I chęć mu przyszła niespodziankę ona
Przedłużyć wiary dziecinnej udaniem,
Gdy Diwa z twarzą wbiegła rozjaśnioną,
Mówiąc: „Posłałam - krótki list - **z wyznaniem:**
List twój i kwiaty - po drodze ich wiele
Zakupić można?-prawdaż? -
W rzeczach tylu
Życzenia twoje i pragnienia dzielę -
Czemuż mam obcą być i w tym? - „

„Motylu! -

Pomponius z zimną ufnością odpowie -

Gdybyś zrobiła to!-”

„Gdybym zrobiła!” -

I wieniec rąk nań białych zarzuciła,

Wśród pocałunków poszeptując: „**Kto wie** - „

* Ta moralna uwaga o gniewie nie jest wcale obca społeczeństwu starożytnemu, owszem, precepty **higieniczno-moralne** mamy właśnie że z tamtych źródeł

XXVII

W podróżnym płaszczu, z ogoloną głową*,

Jako niewolnik lub człowiek ubogi,

Mistrz Artemidor wchodził w Zofii progi,

Postawę **nie swą** mając, raczej ową,

W którą się rzeźbiarz stroi, kiedy bogi

Przedstawiać każą mu śmiertelni ludzie,

Hojni dość, nie dość rozmyślni o cudzie.

Zofia kończyła właśnie swą rozmowę

Z posłańcem, który miał doń list, a leki

I kwiaty z willi przyniósł niedalekiej,

- Od Pomponiusa list, rzeczy nienowe

Powiadający, tym szczególny w sobie,

Że zdał się innej należeć osobie -

I nic o lekach nie mówił od Maga.

Rzuciła go więc, rzekłszy: „Nieuwaga!” -

Skinieniem słudze dając pożegnanie,

Gdy Artemidor siadł i, jak w koronie

Król, za majestat swój mając wygnanie,
Mierzonym głosem, te jej mówił słowa:
„Bądź zdrowa! - więcej niż kiedy, **bądź zdrowa!**
Wybrzeża Galii** dzikiej niezadługo
Przyjdzie mi oczy oglądać tęsknemi,
„**Rzymie!** -wołając- **sławo i zasługo!**
Zniknijcie - ziemio, wracaj się do ziemi!
Laury! suchymi rozmiećcie się pyły” -
Brak środków dwakroć uolbrzymia siły.”
To rzekł - lecz, jakby mówił to już pierwej,
Nie dawał uczuć, aby krócił żale,
Lub poruszone uspokajał nerwy -
Swobodny, owszem, i przytomny wcale,
Nim Zofia z swym się współczuciem ozwała,
Kwiatami począł bawić się niedbale,
Kaząc, by leków swych nie przerywała,
Solennie nagłąc, by nie był natrętny,
By napój wzięła zbawienny, acz mętny -
Co też doraźne dało porównanie,
Iż nie mniej gorzkie, a przyjął - wygnanie! –

Więc Zofia, leżąc, rękę mu podawszy,
Chyliła do ust małą amforę,
Rumieniec mając coraz to jaskrawszy,
Jak gdy weselą się osoby chore.

I obraz to był zaprawdę ciekawy:
Wygnańca, gdy się z ręką tej kobiety
Leżącej bawił, wzrok mając bez-łzawy,

Lecz nieobecny, poza miejsce wryty –
I tej, z rumieńcem swoim chorobliwym,
Nadobnej, co mu rękę swą podała -
Leżąc pomiędzy człkiem **nieszczęśliwym**
A lirą, która z drugiej strony stała -
Pijąc coś, wzrokiem iskrząc, piersi drganiem
Coraz to silniej odrzucając szaty - -
Obraz, nie wiedzieć czyim pożegnaniem
Napiętnowany, zwłaszcza że tuż kwiaty
I list rzucony najniebalej leżał;
Jakby tam przeszedł jeden z onych smutków,
Co do nikogo z ludzi nie należał -
Ani należał komu - owoc skutków! –

Po chwili, puste rzucając naczynie,
Ścisnęła ręką dłoń Artemidora
I przechyliła k'niemu blade skronie,
Mówiąc coś, jakby osoba nie chora,
Lecz jak się dzieci bawią w swej pościeli -
Rękoma włosy zgarniając na oczy
Z kwileniem płaczu, to znowu weselej
Do rozpierzchniętych gadając warkoczy,
Jak gdy kto z żywym bawi się stworzeniem - .
„Bądź zdrów!” - wołając, i znowu: „Bądź zdrowa!”
„Liry mi z sobą nie unieś, bo jęknie -
Podłyszają szpiegi, co się w lirze chowa,
Rozbiją na krzyż, że każda z strun pęknie,
Spadkami pękań tych wyrzekłszy słowa
Wszystkiego - co jest na świecie coś warte -

A ludzie patrzeć będą, jak ta mowa
Odleci w lazur, pierś mając rozdarte,
I jeszcze o drachm **zalożą się parę**,
Czy też do Grecji szczątki jej dolecą?-

Och! tak jest - mówię ci - kolosy stare,
Z gajów swych cicho wyzierając, lecą -
Orfeusz, Homer! - Patrz - „

I wskazywała
Palcem w zasłony cienie purpurowe:
„Sokrat - z motylem czy liściem na czole -
Pokazuje mi coś**** - amfora mała -
A taki wielki świat! - tak wielkie bole! -
I śmierć - sen - sen - śmierć - - „

I skołała -
„Och! niżli pójdę precz - wygnaniec rzecze -
Trzebaż mi było ostatnią z Hellady
Pożegnać pierwiej? - Eheu! - nie miecze,
Lecz poniewierka już a skryte jady
Narodu resztom następują w ślady!”
- Co że zawołał głosem rozpaczliwym,
Służebne wbiegły, Egipcjanka z niemi,
I rozpoczęły nad ciałem nieżywym
Szlochać - list, flaszkę, kwiaty brały z ziemi -
Noc nadchodziła: sąsiednie osoby
Wchadzały, mimo niegościnniej doby.
Pochodni kilka, tam i owdzie - długo

Noszono - szepcząc, gdy Mistrz, w swej opończy
Wytartej, stał się pogrzebowym sługą:
Przyjaźnią, prawdą i bólem okryty,
Nie myśląc, jak z nim pocznie wieść i skończy -
Wygnańca nawet zapomniał - łez syty.

* Dotknięci wygnaniem pozbawieni bywali możności noszenia togi i nieraz w krótkiej sukni, z głową ogoloną, szlachcic rzymski w prowincji oddalonej szkołę zakładał i uczył.

** „**Wybrzeża Galii dzikiej.**” - Lubo państwo rzymskie obejmowało nieledwie świat, linia jednak od dzisiejszego Krymu do Marsylii przez posadę Europy wyciągnięta dałaby **niżej** właściwą ojczyznę Rzymianina, **wyżej** zaś kraje do robienia karier wojskowych i miejsce wygnań. - I jako, na przykład, Ameryka względem Europy bywała i jest krajem ucieczki z różnych przyczyn, tak był naówczas ów obszar środkowej Europy. - Po ukrzyżowaniu Pańskim **Herod, Pilat i ś-ta Magdalena** zostawują wspomnienia, iż w dzisiejszej Francji przebywali; było przysłowiem rzymskim: „**poszedł na ryby do Marsylii**”, co znaczyło, iż wygnany jest albo źle uważany.

*** Kiedy Sokrates wypić miał truciznę, pocieszany był we śnie przez postać cytującą mu wiersz Homera; widzenie więc to Zofii na tym jest osnute.

XXVIII

Poza murami, poza czerwonemi,
Wokoło wzgórza sypanego z ziemi,
Jako gdy ogień wzniecają pastuchy,
Ludzie się jacyś krzątali - czy duchy? –
Gdy wiatr jesienny, idąc po Kampanii,
Skrzydłami swymi stos poddymał suchy
I słowa imał śpiewanej litanii,
Smutki swe do nich mieszając stepowe -
Dym zwijał w kłęby, albo zażegniete
Porywał z stosu wieńce cyprysowe,
Okrągłe - ciskał dalej, rozwinięte -
Bursztynowymi polewan aromy,
Palił się stos ów czworobocznie stromy,

A grupy ludzi odeń aż ku bramie
W zbliżeniach różnych stały. Było rano,
Chłodno - -
Mąż jakiś, obrzucając ramię
Gęstymi płaszczami, za ścianą
Appijskiej bramy, w którą właśnie bigi
Wchodziły, szepnął ku towarzyszowi:
„**Niedługo** konne zaczną się **wyścigi** -
Jezdnych.” * - Co ledwo skończył, ludzie nowi
Od miasta cwałem ku bramie zdążali.
Jeden z nich łowczym był cesarskiej świty;
Drugi, jakkolwiek w pół twarzy zakryty
Od strony, gdzie się stos na wzgórzu pali,
Dawał się po swej poznać wykwinności,
Że był Pomponius - „Fatum nam zazdrości
W wyścigach - oto stos i trup na stosie” -
Łowczy rzekł. - „Fatum, wstrętne filozofii,
Hippice za cóż ma uwłaczać w losie?” -
„Przysiągłbym bowiem, że to resztki Zofii!”
- K'czemu Pomponius, chyląc się na grzywę,
Przeto iż cugle legły, a koń skrami
Rażony, szyję podejmował krzywe:
„**Nie mięszaj że mnie** - odparł - **z wygnańcami.**”
I ręką chroniąc wzrok od wschodu słońca,
Trzeciego zdał się upatrywać gońca - -

Poza murami, poza szerokiemi,
Droga się w wąwóz zakrzywiała czarny
Z kamienia, miękkość mającego ziemi

Zmarzłej - lub jako żużel jest pożarny,
A kamień taki **tuffo**** się nazywa,
Topora cięciu echem nie odzywa.
Tam w czeluść groty mimo bliskiej drogi
Wnosili męże trzej rzecz płaszczem krytą;
Gdy jeźdźcy nasi, w kształt konnej załogi,
Wąwozu czarne mijali koryto,
Niesionej rzeczy błysły w cieniu **nogi** -
Że je, z pośpiechem uchodząc, odkryto -
Białość i zmarszczki mające sędziwe,
A jako zmarły kwiatu pąk, **nieżywe**.
Mąż, co je spuszczał w grotę*** ręką lewą,
Podrzucił prawą ku jeźdźcom, jak drzewo,
Kiedy je skręci wiatr, i za rumakiem
Pulchra coś wołać wszczął tej ręki znakiem,
Jakoby mówić chciała ta osoba:
„Pomóż grześć starca, odpoznaj Barchoba!”
- Gdy grzywy poświst i szelest klamidy
Zdawał się odrzec: „Nie znałem was - •ydy!”

* **Konne** wyścigi **jezdnych** - ten wyraz znaczy tu po rzymsku **jezdnych**, to jest: szlachty rzymskiej.

** **Tuffo** - kamień czarny, miękki. Najstarsze groby, np. Scypionów, z tego kamienia są robione; **groby**-nie zaś **sarkofagi**.

*** Nie tylko palono na stosach, ale i sposobem orientalnym grzebano w jaskiniach; nawet pieniądze w usta

kładziono grzebanym, pod koniec bowiem Imperium, i już od połowy ciągu jego, grzebano na sposoby każdemu wyznaniu właściwe.